



„Nie Cię cenić trzeba”...
czytaj strona 2

Z I sekretarzem Komitetu Zakładowego PZPR w Łódzkich Zakładach Radiowych „Fonica”, KRZYSZTOFEM PAWLAKIEM, rozmawia BOGDA MADEJ.

trzeba być w zgodzie z idea

— Organizacja partyjna „Foniki” jest w Łodzi bodaj najbardziej znana. Mówi się o was w kraju. Słyszano się nawet jakby cień pretensji, że w Łodzi jest 85 komitetów zakładowych PZPR, ale o tamtych nie mówi się tyle, co o waszym. Jak sądzisz, dlaczego tak się stało?

— Wydaje mi się, że różnica między naszą organizacją a innymi — choć grono wypowiadających się głosiło organizację stale się powiększa — polegała na tym, iż to, co myśleliśmy, to co mówili robotnicy, technicy, inżynierowie na zebraniach partyjnych w Łódzkich Zakładach Radiowych „Fonica”, postanowiliśmy inaczej przekazywać, niż dotychczas. Obowiązek przesyłania naszych uchwał do instancji wyższej oczywiście jest i będzie nadal zachowany, ale uważaliśmy, że z naszymi uchwałami i stanowiskiem, nawet dla samej konfrontacji poglądów, należy zapoznać również organizację, z którą mamy kontakty.

Dalszy ciąg na str. 2

Jeśli rzeczywiście chcemy zrozumieć, co stało się w Polsce i skąd biorą się nasze periodyczne kryzysy musimy szukać odpowiedzi całościowych, a nie fragmentarycznych. Jest to prawda elementarna, o której większość autorów zapomina. Innymi słowy: potrzebne są ujęcia dialektyczne, tzn. uwzględniające wielość czynników i wskazujące najważniejsze z nich. Niniejszy szkic jest próbą zaprezentowania takiego właśnie podejścia. Z tym, że ma on charakter przybliżeniowy. Większą wagę przywiązuje do samego schematu analizy, niż do wniosków. Te ostatnie bowiem wymagają dłuższych badań i dyskusji.

Powojenny rozwój społeczno-gospodarczy naszego kraju odbywał się w sposób cykliczny. Po zakończeniu okresu odbudowy ze zniszczeń wojennych, a więc w latach 1950-1961 wyraźnie wystąpiły trzy cykle. Każdy z nich obejmuje dwa etapy: przyspieszenia rozwoju i przywrócenia równowagi rozwojowej. Andrzej Karpiński przedstawia to następująco: 1. pierwszy cykl (1950-1958) — a) przyspieszenie (1950-53), b) równowaga (1953-58); 2. drugi cykl (1958-1970) — a) przyspieszenie (1958-64), b) równowaga (1964-70); 3. trzeci cykl (po 1971 r.) — a) przyspieszenie (1971-76), b) równowaga (od 1977 r.).

Należy podkreślić, że zjawisko cykliczności rozwoju nie jest czymś anormalnym, do likwidacji czego trzeba by dążyć. Cykliczność jest prawem wszelkiego rozwoju — zarówno w przyrodzie jak i społeczeństwie ludzkim. Tak samo nie są anomalią błędy, które popełniają ludzie w toku historycznego rozwoju. Błędy i cykle są czymś koniecznym. Chodzi tylko o to, aby łagodzić ich niszczące skutki.

Nie ma na świecie kraju, który rozwijałby

się nieprzerwanie bez żadnych błędów i załamań kryzysowych. Nie da się jednak ukryć, że w Polsce depresje i wybuchy są zbyt duże i zbyt często w takiej skali mają miejsce. Przyczyny tego, moim zdaniem, można podzielić i uszeregować według ważności w trzech grupach. Na pierwszym miejscu należy wymienić okoliczności systemowe, czyli wynikające z natury rzeczywiście funkcjonującego ustroju społeczno-politycznego. Następnie liczą się przyczyny historyczne, wynikające z tradycji i losów dziejowych naszego narodu, a przyswajane nieuchronnie przez istniejący ustrój. I na końcu umieścić należy uwarunkowania zewnętrzne, związane z sytuacją geopolityczną oraz środowiskiem przyrodniczym.

PRZYZCZYNY SYSTEMOWE

W tej grupie wyróżniam dwa rodzaje ściśle ze sobą związanych przyczyn: doktrynalnych i politycznych. Pierwsze wynikają z pewnej ideologicznej wizji socjalizmu, która upowszechniła się nie tyle pod wpływem klasyków (Marksa, Engelsa, Lenina), co różnego rodzaju niewykształconych doktrynerów i socjalistów utopijnych. Natomiast drugie biorą się stąd, że ową doktrynerską koncepcję usiłuje się za wszelką cenę urzeczywistnić, zamykając oczy na oczywiste nawet niepowodzenia.

„Socjalizm” tak samo jak „kapitalizm” czy „feudalizm”, jest pewnym typem idealnym — modelem, który w czystej postaci i ze wszystkimi szczegółami nie da się zrealizować w żadnym kraju. Socja-

Edmund Lewandowski

przyczyny naszych kryzysów

lizm jest ustrojem opartym na społecznej własności środków produkcji. Ale nie należy tego rozumieć tak, że cała baza ekonomiczna musi mieć charakter socjalistyczny, wykluczający własność drobnotowarową. Podobnie w krajach burżuazyjnych obok kapitalistycznych stosunków produkcji występuje sektor drobnotowarowy w mieście i na wsi.

Zwyczajnym doktrynerstwem było dążenie do urzeczywistnienia czystego socjalizmu w gospodarce bez liczenia się z kryterium wydajności pracy. Jest to po prostu sprzeczne z „elemen-

tarzem” marksizmu-leninizmu. Teoria ta zakłada bowiem, że uspołecznienie środków produkcji można tylko w sytuacji, kiedy pojawia się taka potrzeba ekonomiczna i zaistniały już odpowiednie możliwości techniczno-organizacyjne. Uspołecznienie ma sens, jeśli przynosi wyższą wydajność pracy i zapewnia lepsze wykorzystanie sił wytwórczych oraz zaspokojenie potrzeb.

Po bolesnych doświadczeniach „komunizmu wojennego” Lenin doszedł do wniosku, że w kraju o tak niskim poziomie rozwoju łatwo wprowadzić było zdołać władzę, ale bardzo trudno będzie zbudować socjalizm. Sądził on nawet, że Rosja musi najpierw rozwijać „kapitalizm państwowy” — podporządkowując go władzy radzieckiej — a następnie w miarę możliwości przekształcać go w system socjalistyczny. Między układami państwowym, półpaństwowym kapitalistycznym i drobnotowarowym przewidywał istnienie stosunków towarowo-pieniężnych i funkcjonowanie kontrolowanego mechanizmu rynkowego.

Podejście Lenina było zgodne z marksowskim. Nie uznawał tego później w praktyce Stalin. Usiłował on przemocą kształtować stosunki społeczne według swej woli, nie licząc się zbytnio z prawami historii, co więcej — chciał nieczym demagog kreować nowe prawa i znosić te naturalne. Dążył też do uszczęśliwienia ludzi nawet wbrew ich chęci. Postawa taka jest normalna dla każdego ideowego dyktatora i łatwo to zilustrować historycznie. Moim zdaniem jest ona (niestety) typowa dla wielu komunistów starszego pokolenia, wychowanych na podręcznikach stalinowskich.

Dalszy ciąg na str. 4-5

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny
odgłosy



NR 21 (1224) ROK XXIV

24 MAJA 1981 R.

CENA 3 ZŁ

POROZUMIENIE SIKORSKI - STALIN

22 czerwca 1941 roku hitlerowska Rzesza dokonała agresji na ZSRR. Tego samego dnia premier Wielkiej Brytanii — Winston Churchill zapowiedział udzielenie pomocy Związkowi Radzieckiemu. Następnego dnia gen. Władysław Sikorski — Naczelnny Wódz i premier rządu emigracyjnego — zaprosił w przemówieniu radiowym rząd radziecki do rokowań. Wystąpienia Churchilla i Sikorskiego zapoczątkowały tym samym tworzenie „Wielkiej Koalicji”.

Już 4 lipca 1941 roku rozpoczęły się w Londynie rozmowy polsko-radzieckie, które prowadził gen. Sikorski oraz Iwan Majscki — ambasador ZSRR w Londynie.

Efektem tych rokowań stał się układ polsko-radziecki podpisany 30 lipca 1941 roku przez Sikorskiego i Majskiego w obecności Edena i Churchilla.

UKŁAD POLSKO-RADZIECKI

„Art. 1. Rząd ZSRR uznaje, że traktaty radziecko-niemieckie z 1939 roku, dotyczące zmian terytorialnych w Polsce utraciły swą moc.

Rząd Polski oświadcza, że Polska nie jest związana z jakimkolwiek trzecim państwem żadnym układem, zwróconym przeciwko ZSRR.

Art. 2. Oba rządy zobowiązują się wzajemnie do udzielania sobie wszelkiego rodzaju pomocy i poparcia w obecnej wojnie przeciw hitlerowskiemu Niemcom.

Art. 3. Rząd ZSRR oświadcza swą zgodę na tworzenie na terytorium ZSRR Armii Polskiej, której dowódcą będzie mianowany przez Rząd Polski w porozumieniu z Rządem ZSRR.

Armia Polska na terytorium ZSRR podlegać będzie w sprawach operacyjnych Naczelnemu Dowódcy ZSRR, w którym Armia Polska będzie reprezentowana.

Wszystkie szczegóły dotyczące dowództwa, organizacji i użycia tej siły zbrojnej, będą ustalone dalszym układem.

Art. 4. Układ niniejszy wchodzi w życie natychmiast po jego podpisaniu i bez ratyfikacji. Układ jest spisany w dwóch kopiach każda w języku rosyjskim i polskim; oba teksty mają jednakową wagę.

PROTOKÓŁ

Art. 1. Z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych Rząd Radziecki udzielił wszelkich obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium ZSRR, bądź jako jeńcy wojenni, bądź na innych odpowiednich podstawach.

Art. 2. Stosunki dyplomatyczne będą przywrócone między obydwojema rządami po podpisaniu tego Układu i wymianie ambasadorów, która natychmiast nastąpi.

Protokół niniejszy wchodzi w życie równocześnie z Układem z 30 lipca 1941 roku.”

Tego samego dnia rząd radziecki powiadomił Sikorskiego, że wysłał jako ambasadora Aleksandra Bogomolowa, który dotąd był ambasadorem ZSRR w Vichy. Sikorski w odpowiedzi mianował ambasadorem RP w Moskwie prof.



Dalszy ciąg na str. 6-7

Dalszy ciąg ze str. 1

— Statut nie zabrania takiej działalności.
— No, wiadomo. I stąd szereg uchwał, które podejmowaliśmy w związku ze zmieniającą się sytuacją polityczną i gospodarczą w kraju, przekazywaliśmy również do innych organizacji partyjnych. Dlatego chyba o „Fonice” dość często wspominały prasa, radio i telewizja, dlatego poznano nas również w wielu województwach. Chcąc nie chcąc, „Fonica” stała się jakimś symbolem.

— To chyba dobrze.
— Ja sądzę inaczej. Zie, jeśli funkcjonują symbole, ponieważ ze spotkań, które miałem w innych zakładach wiem, że tam ludzie myślą tak samo jak w „Fonice”. Czyli nie jesteśmy odosobnieni, nie działamy na wyspie i nie reprezentujemy tylko swoich, wymaginowanych, oderwanych od życia poglądów. Te przemyslenia są jednakowe i jednakowe powinny być artykułowane, aby brzmiały silnym i ważącym głosem ludzi partii. Po prostu członkowie partii muszą tego wymagać od swoich przedstawicieli.

— Wiele pozytywnych zmian może przynieść kampania wyborcza.

— I powinna je przynieść. Myślę, że w tej kampanii organizacje wyborzą takich sekretarzy, którzy w swoim działaniu będą przedstawiać i reprezentować głos własnych organizacji partyjnych. I to w sposób taki, jakiego będą sobie życzyli członkowie. Takich organizacji jest w województwie coraz więcej.

— Zostałeś powtórnie wybrany I sekretarzem Komitetu Zakładowego. Spodziewałeś się tego?

— Ze zostanę powtórnie sekretarzem — raczej tak, choć nutka niepewności była. Ale chciałbym, żeby to zostało właściwie zrozumiane. Wszak nikt nie powinien być nigdy do końca wszystkiego pewien. Miałem jednak wewnętrzne przekonanie, że w swoich wystąpieniach, zarówno w zakładzie, jak i gdzie indziej, wyrażałem poglądy, myśli i oczekiwania załogi i członków partii.

W okresie posierpniowym miałem wiele dowodów poparcia oddziałowych organizacji partyjnych i obu związków zawodowych. Ze świadomością takiego zaufania mogłem działać, a i spodziewać się, że zostanę nadal obdarzony mandatem.

— Mam nadzieję, że załoga znała wszystkie twoje wystąpienia?

— Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Prowadziłem i prowadziłam jawną działalność zakładowej Instancji partyjnej i wszelkie nasze posiedzenia transmitowane były i są przez radiowęzeł dla całej załogi. Przedstawiałem w taki sam sposób wszystkie moje wystąpienia, jakie miałem poza Łodzią. Załoga musi wiedzieć, co w jej imieniu mówi sekretarz.

Mam pełną świadomość, że funkcjonować jako I sekretarz w „Fonice” mogę tylko dotąd, dopóki będę wyrażał przekonania oraz oczekiwania załogi i członków partii.

— Jak długo jesteś I sekretarzem Komitetu Zakładowego?

— Jestem w „Fonice” od 17 stycznia 1980 roku, czyli przyszedłem tam pół roku przed wydarzeniami lipcowymi w Lublinie. Byłem zresztą „przyniesiony w tecze”.

— Nie musiałeś tego mówić.

— Nie wstydzę się tego. Taka była praktyka. Nie znałem tej organizacji. Na pierwszym plenum KZ powiedziałem wyraźnie, że będę się starał jej służyć, jeśli mi jednak członkowie partii nie pomogą, jeśli nie będziemy działać wspólnie, to ja się w „Fonice” nie sprawdzę. To, że tak się nie stało, potwierdza tylko fakt, iż wyciągnięto do mnie rękę, wyciągnęliśmy właściwie ręce nawzajem do siebie i trzymamy się razem z całym aktywnie.

— Zostałeś również delegatem na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR.

— Tu muszę się przyznać, że tego się nie spodziewałem. Nie rozmawialiśmy w ogóle na ten temat. Była to decyzja delegatów poszczególnych oddziałowych organizacji partyjnych. Wielokrotnie, na spotkaniach z nowo wybranymi sekretarzami, mówiliśmy o tym, że wszyscy razem ponosimy odpowiedzialność za to, kto będzie reprezentował nas na zjeździe. Na konferencji powiedziałem, że na zjazd powinien pojechać robotnik z długoletnim stażem zawodowym i partyjnym i takiego delegata powinna konferencja wybrać. Zgodziłem się kandydować na delegata, ale powiedziałem wyraźnie: Jeśli konferencja uzna, że na zjeździe organizację partyjną „Fonikę” powinien reprezentować I sekretarz KZ, to ja się zobowiązuje, że tuż przed zjazdem spotkam się ze wszystkimi delegatami na konferencję zakładową i ustalimy, z jakimi problemami mam występować na zjeździe.

— Teraz powinienes opowiedzieć czytelnikom swój życiorys.

— Mam 31 lat, urodziłem się w roku 1950. Jestem absolwentem Politechniki Łódzkiej, moją specjalnością jest automatyzacja procesów przemysłowych. Skończyłem studia w maju 1975 roku. Podczas studiów, przez kilka miesięcy pracowałem w Zarządzie Łódzkim SZSP. Po studiach rozpocząłem staż w Wifamie, w biurze konstrukcyjnym. Po dwóch miesiącach skrócono mi staż i zostałem samodzielnym konstruktorem. W Wifamie pracowałem przez rok, do momentu, kiedy otrzymałem propozycję z Zarządu Łódzkiego SZSP. Ponieważ od 1965 roku działałem społecznie w organizacjach młodzieżowych ZMS i SZSP, przyjąłem tę propozycję. Byłem najpierw wiceprzewodniczącym, później przewodniczącym Zarządu Dzielnicowego SZSP na Górnej. Ostatni rok przed przejściem do „Foniki” pracowałem jako kierownik wydziału organizacyjnego ZŁ SZSP. Jednocześnie robiłem studia podyplomowe w Wyższej Szkole Nauk Społecznych i Organizacji zarządzania.

— Co sądzisz o tzw. strukturach poziomych w partii? Przez pewien czas udawano, że w ogóle nie ma tego problemu, a i teraz niektórzy patrzą na to zjawisko z dużą podejrzliwością. Dlaczego?

— Mnie się wydaje, że wszystko nowe, nie tylko w partii, ale w ogóle w życiu, na początku przyjmowane jest z rezerwą. I nie dziwię się, że jest taka rezerwa wśród części aparatu partyjnego i wśród niektórych członków partii w wielu organizacjach. Myślę, że decydującym elementem jest tu po prostu brak informacji, bądź manipulowanie informacją o tym, co to są tzw. struktury poziome.

— Czy to jest właściwa nazwa?

— Nie. Nazwa ta sugeruje powstanie nowej, pozastatutowej struktury, która tworzy się poza istniejącą w partii. Należy zatem takie zjawiska krytykować i przeciwstawiać się im. A są to po prostu formy współpracy i wymiany myśli partyjnej. Stosuje się dla takiej współpracy inne nazwy: komisje konsultacyjno-porozumiewawcze, forum dyskusyjne, zespoły do spraw problematyki IX Zjazdu.

— Tak! Zespół jest w Łodzi.

— Tak. Jest to zespół, w skład którego

— W większości województw istnieją w tej chwili zespoły organizacji partyjnych. W Gdańsku funkcjonuje w ten sposób wojewódzka komisja przedjazdowa, jest Szczecin, jest bardzo silny Poznań, na czele z „Cegielnikiem” — tam zresztą w takich formach działalności uczestniczy jeden z komitetów dzielnicowych — jest Bydgoszcz, Włocławek, Wrocław z Legnicą i okolicznymi miastami i województwami, Olsztyn, Białystok, Katowice. Mają swoją komisję konsultacyjno-porozumiewawczą na czele z „Półką” Pabianice. Jest Lublin z Fabryką Samochodów Ciężarowych WSK Świdnik, jest Toruń.

— Komisja konsultacyjno-porozumiewawcza w Toruniu była pierwszą tego rodzaju formą działania organizacji partyjnych w kraju. Ale też do dziś Toruń wzbudza najwięcej kontrowersji.

— Żeby o czymś mówić i poznać, trzeba zadać dokumentów i docierać do dokumentów. Bez ich znajomości nie można oceniać Torunia. My, w „Fonice”, mamy taki komplet dokumentów. Bez ich znajomości nie można oceniać Torunia. Można do nas zadzwonić, przyjechać, porozmawiać i trzeba samemu ocenić, czy toruńska działalność mieści się w strukturach partii, czy jest to dobre czy złe dla partii.

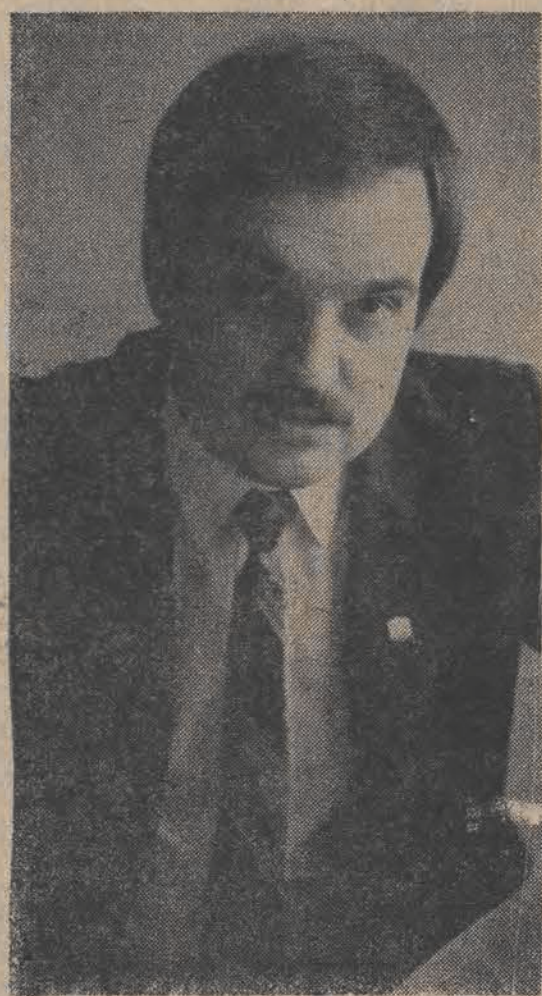


Foto: R. Łucyszyn

KRZYSZTOF PAWLAK: „...nie jesteśmy odosobnieni, nie działamy na wyspie i nie reprezentujemy tylko swoich, wymaginowanych, oderwanych od życia poglądów”.

wchodzą organizacje wyższych uczelni i zakładów pracy, które uzgadniają wspólne stanowisko w kwestiach programowych, statutowych, organizacyjnych, gospodarczych.

Wspólne wypracowywanie stanowisk świadczy o głębokim ożywieniu, które pojawiło się w organizacjach partyjnych, o zdolności członków partii do dyskusji, do samodzielnego myślenia, do określania wspólnych stanowisk nie tylko działając na swoim terenie, ale szerzej.

— Znalazło to aprobatę instancji partyjnej?

— Oczywiście, z bardzo prostego względu. Te zespoły nie podejmują uchwał, przyjmują natomiast pewne projekty, stanowiska, a roboty komisje przygotowują różne opracowania. Uchwały podejmowane są jedynie przez organizację zakładową czy też inne statutowe instancje. Nawzajem zespół do spraw problematyki IX Zjazdu działa samodzielnie, ale pod patronatem Wydziału Nauk KŁ PZPR. Tak w Łodzi, jak i w innych miastach, opracowano materiały, których w pierwszych posierpniowych miesiącach nie było i nie można się ich było doprosić ani od Komitetu Centralnego, ani od innych instancji.

— Mimo że istniała potrzeba oceny bardzo skomplikowanej i ciągle zmieniającej się sytuacji...

— Dlatego członkowie partii doszli do wniosku, że pewne materiały do dyskusji trzeba pisać samemu. Myślę, że to przekonanie, iż z mądrością wszystkich członków partii powinien zrodzić się program, z którym partia chce wyjść na IX Zjeździe, pozwoliło na autentyczny powrót do idei marksizmu-leninizmu w organizacjach partyjnych.

— Jak ta działalność wygląda w innych miastach?

— Jeszcze raz potwierdza się konieczność pełnej informacji w życiu partyjnym.

— Ja myślę, że to, krok po kroku, ulega stałej poprawie, choć nadal jeszcze jest zbyt mało informacji w stosunku do potrzeb. Od każdego, kto to robi dobrze, trzeba się uczyć. Ja, na przykład, zazdroścę swojej zakładowej „Solidarności”, że na teleksie codziennie dostaje serwis informacyjny. Ten sam serwis dostaje MKZ a poprzez radiowęzeł w „Fonice” dociera on do szeregowego członka związku.

— A co stoi na przeszkodzie takiej pełnej informacji, która dotarłaby do wszystkich organizacji partyjnych?

— Stała na przeszkodzie nieufność centrum wobec szeregowych członków partii. Istniały różne poziomy informacji, inna była dla członków Biura Politycznego, inna dla sekretarzy komitetów wojewódzkich, inna dla aparatu.

— Mówisz: była. Czy zmieniło się to na razie?

— Mimo że informacja dociera do coraz szerszego aktywu, to jeszcze nie wszystko jest tak, jak być powinno.

— Węży choćby tak istotne dla życia partii wydarzenia, jakimi są plenarne posiedzenia Komitetu Centralnego. Odkąd się już X Plenum, ale nie dotarły jeszcze „Nowe Drogi” z IX Plenum KC PZPR. A wiadomo, że omówienia PAP nie gwarantują pełnej orientacji w poszczególnych wystąpieniach, nie przyniosła pełnego obrazu dyskusji.

— Ja też tego nie rozumiem. Uważam, że „Nowe Drogi” ze stenogramami posiedzeń plenarnych powinny być drukowane w ciągu kilku dni. Są takie techniczne możliwości. Cała, nie skracana dyskusja, powinna być podstawą do szybkich, partyjnych ocen posiedzeń Komitetu Centralnego.

Uważam, że plenarne obrady, nie w kwestiach organizacyjnych czy wewnętrznych, ale w kwestiach dotyczących całego narodu powinny być jawne, tak, jak posiedzenia Sejmu. Jeśli mamy działać jako organizacja marksistowsko-leninowska, mająca na celu dobro społeczeństwa, to pokazmy dyskusję całemu społeczeństwu. Niech społeczeństwo ma taką samą świadomość tego, czym jest partia, jaką mam ją. Stąd potrzeba uwiarygodnienia partii. Partia musi odzwierciedlać dążenia narodu i naród musi być o tym przekonany.

— Muszą być przekonani przede wszystkim członkowie partii. A przecież oddano wiele legitymacji, co było wyrazem nieufności.

— I ja się ludziom nie dziwię. Po pierwsze — trzykrotnie robiliśmy już odnowę i tzw. promienność zawsze mieli pełne usta demokracji i samorządności, a potem wszystko wracało w stare koleiny. Po drugie — niektórzy ludzie mieli pełne usta wybranych cytatów z nauk marksistowsko-leninowskich, a jednocześnie nie mieli czystych rąk.

Jednak zwracanie legitymacji partyjnych jest działaniem niewłaściwym. Ci, którzy muszą odejść, niech odejdą, ale ci, którzy choć

w części poczuwają się do obowiązków wyrażonych w statucie, winni w partii pozostać i wspólnie ze wszystkimi członkami domagać się takich zmian, które gwarantowałyby w partii stosowanie w praktyce leninowskich zasad.

— Jakże, twoim zdaniem, muszą być gwarancje odnowy? „Solidarność”, na przykład, podkreśliła w swoim projekcie programowym, że to ona jest głównym gwarantem.

— Nie jest głównym gwarantem, jest jednym z gwarantów. Ważne jest jednak to, że „Solidarność” pokazała już pewien program, choć nie ze wszystkimi jego elementami można się zgodzić. Myślę, że „Solidarność” przedstawiła ten program do szerokiej dyskusji wśród członków swojego związku.

— Ale chyba nie tylko wśród nich...

— Również wśród członków partii, stronnictw, członków innych związków, słowem — całego społeczeństwa.

— Jakos nie jest to zbyt ożywiona dyskusja.

— Rzeczywiście tego nie widać. Natomiast to, co mnie smuci, to fakt, że „Solidarność” pokazała wcześniej program i wyprzedziła partię. Taka jest rzeczywistość, nie należy się jednak do niej przyzwyczajać. Głęboko wierzę, że partia zacznie wyprzedzać działalność związków zawodowych w tym wszystkim, co nazywamy procesem socjalistycznej odnowy.

— Wróćmy jednak jeszcze do spraw gwarancji, że podobny kryzys się nie powtórzy.

— Myślę, że w analizie, jaka będzie dokonana na zjeździe, sprawa rozliczenia określonych

osób, co się teraz tak bardzo wybiła w dyskusjach, nie powinna być sprawą dominującą. Ważniejsza jest sprawa ujawnienia mechanizmów, które i umożliwiają demoralizację, pozwalają na oderwanie się władzy od członków partii. Ważniejsze jest postawienie zapory gwarantującej, że to się więcej nie powtórzy. Władza nie może być komfortem. Ten, kto reprezentuje określone środowisko, musi pamiętać, a jego wyborcy muszą mieć statutowe możliwości, że w każdej chwili może być odwołany, jeśli przestaje reprezentować interesy swojego środowiska. Te same prawa muszą mieć instancje wybieralne w stosunku do instancji wykonawczych. I to musi być wyraźnie zapisane w statucie, a obowiązkiem wszystkich członków instancji wybieralnych musi być egzekwowanie tego prawa.

— Czy sądzisz, że rozliczenie powinno się odbywać na zjeździe? Czy nie stworzy to groźby, że na dalszy plan sejdzie dyskusja nad programem?

— Po Sierpniu bezwzględna koniecznością było szukanie ludzi nieudolnych, złodziei. I to musiało się stać, choć proces ten przebiegał stanowczo za wolno. Sądzę jednak, że już dziś propozycje powinny ulec odwróceniu. Najistotniejszą sprawą musi być program. Co nie znaczy, że w ogóle trzeba przestać rozliczać. Nie sądzę, żeby proces ten zakończył się na zjeździe. Powołana na X Plenum w tym celu komisja musi wskazać głównych winnych i mechanizmy. Ale proces oczyszczania musi się odbyć w całej partii. To samo dotyczy administracji państwowej, gospodarczej i wszystkich dziedzin naszego życia. Dlatego ten proces będzie trwał nadal.

— Odsłanianie mechanizmów prowadzących do wypaczeń wymaga odkłamania naszej wojennej historii, ujawnienia wielu faktów. A to jest o wiele trudniejsze.

— Zjazd, w gruncie rozliczeniowym, musi wyraźnie określić, potępić oraz zapisać w swoich uchwałach sprawę Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza. Tych, którzy ponoszą największą winę za ostatnie dziesięciolecie. Natomiast obowiązkiem powołanej komisji jest stwierdzić, czy nurt rozliczeniowy odbywa się zgodnie ze społecznymi odczuciami. Powinien ten zespół powiedzieć, co należy zmienić w naszym prawie, bo okazało się, że można działać zgodnie z prawem a niezgodnie z moralnością socjalistyczną. Żyjemy w państwie, w którym partia spełnia przewodnią rolę. To wymaga zgodności prawa z zasadami, które głosimy, które są słuszne i pod którymi się podpisujemy.

I jeszcze jedno. Najważniejsze w partii to odpowiedzialność za legitymację partyjną. Wiązanie się nie z konkretnymi ludźmi, a z legitymacją i organizacją jako nośnikami idei. Nie wolno się wiązać z tym, kto rekomendował do partii, wręczał legitymację, albo jest teraz naszym przełożonym. Trzeba być w zgodzie z ideą i tej idei bronić. Nie osób, bo dziś są jedni, a jutro będą inni.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 3

Dalszy ciąg ze str. 1

Stanisław Kota, przedwojennego wykładowcę historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, ministra spraw wewnętrznych rządu emigracyjnego w latach 1939-1941.

14 sierpnia 1941 została zawarta w Moskwie polsko-radziecka umowa wojskowa, podpisana przez gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza z ramienia Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich i gen. Aleksandra Wasilewskiego z ramienia Naczelnego Dowództwa ZSRR.

Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR mianowany został gen. Władysław Anders. W miejscowościach Koltubianka, Tatiszczewo i Tockoje rozpoczęła się formowanie polskich oddziałów.

19 listopada 1941 roku Polska Agencja Telegraficzna nadaje komunikat o planowanej podróży gen. Sikorskiego do ZSRR.

30 listopada 1941 roku Sikorski ląduje w Kujbyszewie.

„Rząd Sowiecki nie miał wielkiej radości — relacjonuje Stanisław Kot — z powodu tego przyjazdu, który uważał także za zwiększenie swego prestiżu wobec świata. Zapowiedziano, że gen. Sikorski będzie przyjeżdżał z honorami, jakie się okazuje szefom państw. Żadnego z tych szefów od bardzo dawna tu nie gościliśmy. Wobec cudzoziemców oficjalnych nawet bardzo wpływowych organizowanych raczej chęć, niechęć, aby pokazać, że tutaj nikomu nie zaimportujemy. Pod tym względem przyjęcie polskiego Premiera stało się sensacją dla Rosjan i dla cudzoziemców. Wystawianie wszędzie kompanii honorowych, polskich sztandarów i odgrywanie „Jeszcze Polska nie zginęła” stanowiło zewnętrzny wyraz gościnności. W stosunkach osobistych była ona wprost niezwykła”.

3 grudnia 1941 roku odbyło się na Kremlu ponad dwugodzinne spotkanie: Sikorski — Stalin, w którym uczestniczyli ponadto gen. Anders, amb. Kot, ze strony zaś radzieckiej — Władysław Mołotow, minister spraw zagranicznych. Oto przebieg rozmowy z niewielkim skrótem:

SPOTKANIE: SIKORSKI — STALIN

Sikorski: Jestem niezmiernie rad, że mogę powitać jednego z rzeczywistych twórców współczesnej historii i powinszować Panu Prezydentowi bohaterstwa armii rosyjskiej w walce z Niemcami. Jako żołnierz wyrażam swój podziw dla meżnej obrony Moskwy, kierowanej tak skutecznie przez Pana, który sam przeżywa w stolicy. Jednocześnie dziękuję Panu Prezydentowi za bardzo wielką gościnność, której doznaję od samego początku wstąpienia na ziemię radziecką.

Stalin: Dziękuję za wypowiedziane przez Pana Premiera słowa i jestem bardzo rad, że widzę Pana w Moskwie.

Sikorski: Rozpocznę od tego, że nigdy nie prowadziłem i nie zgadzam się z polityką, skierowaną przeciw Rosji Radzieckiej od lat dwudziestu. Wobec tego miałem moralne prawo do podpisania układu, gdyż może on być ukoronowaniem tej, które od dawna wyznawałem. Co więcej, mam w tej ważnej dla przyszłości sprawie za sobą naród polski, jak w kraju, tak i we wszystkich skupiskach polskich, zarówno większych, jak „Ameryka”, gdzie mieszka 4 i pół miliona Polaków, Kanada, gdzie jest ich

600 tysięcy, jak i innych mniejszych. Tych, którzy politykę taką, jak moja, nie prowadzili, mam przeciwko sobie.

Nie chciałbym, aby powolna realizacja układu osłabiła politykę zbliżenia i współzycia przyjaznego między naszymi państwami. Od pełnej i lojalnej realizacji układu zależy, czy istotnie stanęliśmy na zakreście historii. Zależy to od Pana, gdyż Jego decyzje są w tym kraju miażdżące. Trzeba więc realizować układ nasz, trzeba, aby dokuczliwe dla naszej ludności szlaki znikły. Znam dokładnie trudności, w jakich znalazła się Rosja. Cztery piąte wszystkich sił zbrojnych Rzeszy Niemieckiej zważyło się na was. Rozumiejąc to, jestem adwokatem waszej sprawy w Londynie i Stanach Zjednoczonych. Już kilka miesięcy temu złożyłem memoriały, dowodzące konieczności stworzenia drugiego frontu na Zachodzie.

Stalin: Dziękuję Panu Premierowi. To słuszne i dobre.

Sikorski: Ale to nie jest łatwe zadanie. Istnieje wielkie trudności, szczególnie shippingowe. Przeprowa przez kanał La Manche większej ilości wojsk, zajęcie i rozwinięcie odpowiednich pozycji na kontynencie nie jest zadaniem prostym. Tego rodzaju operacje należy przygotowywać bardzo starannie, dokładnie i solidnie, nie można tu naciskać, ażeby nie powtórzył się drugi Daker.

Mołotow: Słusznie. Gdyby się taka operacja nie udała, to moralnie miałyby to bardzo ujemne skutki.

LUDNOŚĆ CYWILNA

Sikorski: Wracam jednak do naszej sprawy. Stwierdzam wobec Pana Prezydenta, iż jego oświadczenie o amnestii nie jest wykonywane (...)

[...]

Stalin (notując): To jest niemożliwe, gdyż amnestia dotyczyła wszystkich i wszyscy Polacy są zwolnieni (ostatnie słowa kieruje do Mołotowa, Mołotow potakuje).

Anders (podaje szczegóły na żądanie gen. Sikorskiego): Nie jest to zgodne z istotnym stanem rzeczy (...)

[...]

Rozkazy rządu nie są wykonywane, gdyż komendanci poszczególnych obozów, mając obowiązek wykonywania planu produkcyjnego, nie chcą pozbywać się najlepszego materiału roboczego, bez którego wykonanie planu byłoby czasem niemożliwe.

Mołotow (śmieszcza się, potakując głową).

Anders: Ludzie ci nie rozumieją całej wagi naszej wspólnej sprawy, która w ten sposób ponosi niezmiernie wielki uszczerbek.

Stalin: Ci ludzie powinni iść pod sąd.

Anders: Tak jest. (...)

[...]

Stalin: Na pewno zwolniono ich, tylko jeszcze nie przybyli.

Sikorski: Rosja jest wielka i trudności również duże. Może władze lokalne nie wykonały rozkazów (...)

[...]

Stalin: Na pewno zwolniono ich, tylko jeszcze nie przybyli.



Kreml, 4 grudnia 1941 roku. Uroczyste podpisanie deklaracji polsko-radzieckiej. Stoją od prawej: Władysław Mołotow, Władysław Sikorski, Stanisław Kot, Władysław Anders, Georgij Małenkow. Podpis składa Stalin.



Kreml, 4 grudnia 1941 roku. Podpis pod deklaracją polsko-radziecką składa Władysław Sikorski. Od prawej stoją: Józef Stalin, Władysław Mołotow, Stanisław Kot, Władysław Anders.

Stalin: Wiedziecie, że Rząd Radziecki nie ma najmniejszych powodów, żeby zatrzymywać choćby jednego Polaka; wypuściłem nawet agentów Sosnkowskiego, którzy urządzali na nas napady i mordowali naszych ludzi. (...)

[...]

Sikorski: Nie tykajmy spraw z czasu wojny. Obecnie dobrze by było, gdyby Pan Prezydent dał publicznie wyjaśnienia w tej sprawie, żeby wywołać w Rosji Radzieckiej zwrot zasadniczy dla Polaków. Nie są to przecież turyści (...)

Stalin: Ludność w Związku Radzieckim dobrze jest nastawiona dla Polaków. Błędy mogą popełniać tylko urzędnicy.

Anders: Chodzi nie tylko o urzędników, którzy źle wypełniają polecenia, lecz o to, by ludność zrozumiała, że Polacy nie z własnej woli koncentrują się w większych grupach w pewnych miejscowościach. Nam specjalnie zależy na dobrych stosunkach z ludnością.

Sikorski: Widziałem w Kujbyszewie transport naszych ludzi, który zrobił na mnie wrażenie okropne. Należy im koniecznie szybko pomóc. Dzielę ludność naszą na dwie kategorie. Jedni mogą pracować, i ci powinni otrzymać pracę na możliwie dobrych warunkach.

Stalin: Na takich samych warunkach, jak obywateli radzieckich.

Sikorski: Już nie chodzi nawet o to, by na tych samych, ale po prostu na znośnych. W interesie wspólnego wysiłku wojennego leży odpowiednie wykorzystanie naszych ludzi. Pan Prezydent rozumie, że nie jest właściwie użyty specjalista od budowy tanków, który rabie

POROZUMIENIE

drzewo w lesie, albo wybitni chemicy, pracujący fizycznie na roli (...)

[...]

Stalin: To będzie załatwione. Specjalne zarządzenia zostaną dane władzom wykonawczym, trzeba jednak zrozumieć, że prowadzimy wojnę.

Sikorski: I dobrze ją prowadzicie.

Stalin: No nie, średnio. Transport nasz był strasznie przeciążony. Wywoziłmy rannych, ewakuowaliśmy ludność, przemieściliśmy 70 wielkich fabryk. Musieliśmy przewozić wojsko w jedną i drugą stronę. Niech Polacy zrozumieją olbrzymie trudności, jakieśmy mieli. Ale będzie lepiej.

Sikorski: Ludność polską trzeba osadzić w prowincji o lepszym klimacie.

Stalin: Należy zastanowić się nad rejonami dla Polaków. Do Fergany i Uzbekistanu normalnie dostarczamy zboże, bo tam produkujemy bawełnę i wydaliśmy nawet specjalne zarządzenie, zakazujące uprawy zboża. Pod tym kątem widzenia tereny te są niewygodne. Ale południowe rejonu Semipalatyńskiej Oblastu byłoby dogodniejsze. Możemy zresztą zobaczyć, jak to wygląda na mapie (wszyscy wstają i podchodzą do mapy, Stalin wskazuje na mapę). A więc Taszkent, Alma-Ata i cały południowy Kazachstan.

Kot: Dla tych z Dalekiego Wschodu może lepsze tereny koło Barnaulu i Nowosybirsk.

Stalin: Tam zimno, ale chleba sporo.

Kot: Ale gdzie posłać tych, co są w Oblastu Archangielskiej i Komi.

Stalin: Także do południowego Kazachstanu. (Siadają przy stole).

Sikorski: Co do pożyczki, uważam, że sto milionów rubli załatwiłoby sprawę na dłuższy czas, choćby i dlatego, że nie wywołałoby to złego wrażenia i abyście nie narazili się na zarzut, iż w takich drobiazgach robicie trudności.

Mołotow: Daliśmy już przecież 65 milionów.

Kot: Ale to na wojsko.

Sikorski: Hitler nauczył wszystkich, jak bez złota, a tylko pracą można tworzyć wielkie rzeczy. Niech Pan Komisarz nie naśladuje ministrów skarbu na zachodzie, którzy się początkowo spirali o każdy milion.

Stalin: Dobrze.

ORGANIZACJA ARMII

Sikorski: Byłoby to wszystko, co chciałem powiedzieć o polskiej ludności cywilnej. Mam teraz do poruszenia sprawę wojskową. Czy mam od razu mówić o całości problemu, czy też będziemy dyskutować kolejno jego części składowe.

Stalin: Jak Pan General sobie życzy.

Sikorski: My, Polacy, rozumiemy wojnę nie jako symbol, lecz jako prawdziwą walkę.

Stalin (robi gest potakujący).

Anders: Chcemy walczyć tutaj, na kontynencie o niepodległość Polski.

Sikorski: W kraju posiadamy silną organizację wojskową, której zabroniłem wszelkiej reklamy, gdyż tam za każde słowo rozstrzelują. (Stalin potakuje). Gen. Sikorski daje szereg szczegółów dotyczących metod walki narodu polskiego z Niemcami. Wojsko nasze walczy wszędzie. Na terenie W. Brytanii mamy korpus, który potrzebuje uzupełnień. Posiadamy marynarkę wojenną, która doskonale działa. Mamy w akcji 17 dywizjonów lotniczych, które otrzymują najnowsze aparaty angielskie i wspaniale

walczą. 20 proc. strat niemieckiego lotnictwa nad Anglią spowodowali piloci polscy.

Stalin: Wiem, że Polacy są odważni.

Sikorski: Gdy są dobrze kierowani. Dzięki Opatrzności, no i Panu Prezydentowi, jest tutaj gen. Anders, mój najlepszy żołnierz, którego 8 gwiazdek za rany świadczy o jego dzielności. (...)

[...]

Sikorski: Mam jedną brygadę w Tobruku, która zostanie przeniesiona do Syrii i przeorganizowana na dywizję zmotoryzowaną z dwoma baonami czołgów. Jakby zaszła potrzeba, mogę przerzucić ją tutaj na Wschód. Mamy kilka okrętów wojennych. Gdy udekorowałem marynarzy naszej łodzi podwodnej, stacjonowanej na Malcie, która zatopiła krążownik włoski i jeden transportowiec, załoga tak się zapaliła, że potem łódź weszła do greckiego portu i pomimo uszkodzonego peryskopu zatopiła jeszcze jeden krążownik i jeden transportowiec grecki. Wrócił bez najmniejszych strat. Tak bić się będzie żołnierz polski wszędzie, gdy będzie dobrze prowadzony.

Kraj nasz jest zajęty i jedyną rezerwę naszej młodzieży mamy tutaj. Pragnę wysłać dla uzupełnień do Szkocji i Egiptu jakieś 25 tysięcy, z reszty należałoby stworzyć około 7 dywizji. Jest to niezmiernie ważne dla kraju, który zapatrzony jest w Armię Polską, jako symbol swego oporu i swej niepodległości. Chcemy się bić i dlatego wojska w Szkocji będą użyte jako awangarda dla stworzenia drugiego frontu, albo przerzucone tutaj na Wschód. W tym wypadku osobiście objąłbym dowództwo. (...)

Wojna będzie długa. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zanadto się rozbroiły, a ich

przemysł wojenny, szczególnie amerykański, potrzebuje długiego czasu, aby osiągnąć pełną zdolność produkcyjną. Z czasem zwali się i wina materiału wojennego. Jednak już i teraz mam zapewnienia Roosevelta i Churchilla, że uzbroją nasze dywizje równolegle z waszymi, nie obciążając dostaw dla was, pod warunkiem wszakże, iż formowanie naszego wojska będzie się odbywać w rejonach, do których dostawy będą mogły dotrzeć bez wielkich trudności. Obecny stan uzbrojenia naszych dywizji jest zupełnie niewystarczający. Dywizje w tych warunkach są niezdadne do boju, nie otrzymały bowiem całego należnego im wyposażenia. General Anders wyjaśni to Panu szczegółowo.

Anders (wyjaśnia szczegółowo stan otrzymanego uzbrojenia i całokształt sprawy wyposażenia wojska polskiego, podkreślając trudności nie do przewyżczenia, które co dzień się nasuwają).

Stalin (pyta o pewne szczegóły wyposażenia artyleryjskiego, a następnie): Rosja wysłała na wojnę z dywizjami po 15 000 ludzi, które jednak w praktyce okazały się za ciężkie, wobec czego przesłaliśmy na typ lekkiej dywizji w stanie około 11 tysięcy ludzi.

Sikorski: Warunki, w których obecnie formuje się Wojsko Polskie są zupełnie nieodpowiednie (...). Wobec tego proponuję wyprowadzenie całego wojska i całego materiału ludzkiego, który jest zdolny do służby wojskowej np. do Persji, gdzie klimat oraz zapewniona pomoc amerykańsko-brytyjska dałaby możliwość w krótkim czasie przyjąć ludziom do siebie i sformować silną armię, która wróciłaby tutaj na front, by zająć na nim własny odcinek. Jest to uzasadnione z Churchillem. Ze swej strony jestem gotów dać deklarację, że wojsko to wróci na front rosyjski i że mogłoby być nawet wzmocnione kilkoma dywizjami brytyjskimi.

Anders (przedstawia w dalszym ciągu położenie obecnie formowanego wojska, stwierdza, że w tych warunkach wyżywienia, urządzeń mieszkalnych, sanitarnych oraz w ciężkim klimacie, zorganizowanie jednostek, zdolnych do prowadzenia walki jest zupełnie niewykonalne). Najodpowiedniejszym terenem jest Persja. Cały materiał żołnierski i wszyscy mężczyźni zdolni do służby wojskowej winni się tam znaleźć. Gdy weźmiemy udział w walkach, uderzenie naszej armii nie powinno być symbolem, lecz służać celowi, o który walczymy w całym świecie, w walce o Polskę.

Sikorski: Chciałbym, by do mojej propozycji Rząd Radziecki odniósł się z zaufaniem. Jestem człowiekiem, który jeśli mówi tak, to jest tak, jeśli mówi nie, to jest nie, a jeśli nie mówi nic, to albo nie mogę albo nie chcę powiedzieć prawdy.

Stalin (tonem podrażnionym i wyraźnie niezadowolonym): Jestem człowiekiem doświadczonym i starym. Wiem, że jak do Persji wjedziecie, to tutaj już nie wróciacie. Widzę, że Anglia ma dużo roboty i potrzebuje polskich żołnierzy.

Sikorski: Z Wielką Brytanią jesteśmy związani sołuszem, który wypełnia ona lojalnie. Mamy też w Wielkiej Brytanii prawdziwą suwerenność. Może nawet sprowadzić korpus ze Szkocji tutaj i w Anglii na pewno nie będą mi robić z tego powodu trudności. Tak samo mogę odjechać, znajdując się w Tobruku, przyłączyć do naszego wojska tutaj.

Kot: Polak walczy specjalnie dobrze, jeśli jest blisko swojej Ojczyzny.

Stalin: Iran nie jest nawet daleko, ale Angliacy mogą zmusić do walki z Niemcami na

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Na szybie

Oto rzeka w dali
którą poznałbyś i na krańcu świata
ramiona wień i królów dzwon
stare jak Pospolita Rzecz
Oto Miasto w dali
Sanctum sanctorum Poloniae
w którym każdy kamień każda cegła...
Oto Miasto
za gładką szybą powietrza
nic a nic nie zbrukana
oddechem dwóch milionów
i Głos:
Zanim stąd odejdę, patrzę jeszcze raz na ten
Kraków, w którym każdy kamień i każda cegła
jest mi droga, i patrzę na tę Polskę... I zanim
odejdę...
Ale oto
zdumiewający diament
wyciął na szybie profil
uśmiech
i obejmujące horyzont ramiona
i pozostał

Kraków, 10 VI 1979

KLAUDIUSZ

Miroslaw Boruszewski

Wypitem o jeden kieliszek za dużo i po-
wiedzialem:

— Masz, Klaudiusz, pięć dych i skocz
po piwo.

Wybaluszyl wielkie, siwe oczy.

— Jak, to? — wykrztusił.

— Zwyczajnie. Przyniesiesz piwo.

— Ja? Ja, Klaudiusz? — zaczerwienił
się jak kowalska kotlina.

— O, Boże! — ryknął śmiechem Mały-
sek. — On jeszcze nie wiedział, Dyrektor
już wie, a on nie wiedział.

Klaudiusz stał jak zahipnotyzowany.
— Nie ma co się dźwigać — filozoficz-
nie wtrącił Golon. — U nas jednemu
pruła się baba. Cała gmina wiedziała, tyl-
ko rogacz nie. Bywa.

— I, co? — zapytał Małysek.

— Nic.

— Nie dowiedział się?

— Nie. Jak mu było powiedzieć? Te,
Jurek, twoja baba się pruje? Zresztą...
Można było powiedzieć, ale nikt nie
chciał. Po co?

— Pewnie. Jak oczy nie widzą — za-
czął Małysek.

— No, dobra, dobra — przerwałem i
zwróciłem się do Klaudiusza.

— Na co jeszcze czekasz? Słyszales to
smaru.

— Ja, ja Klaudiusz? — nie mógł o-
chłonąć ze zdziwienia.

— Nie przejmuj się — dodałem pocie-
szająco. Prawie każdy ma jakieś prze-
zwisko. Mogłobyś poderwać gorze.

— Na przykład Szarpnięty — dorzucił
Małysek.

— Albo Quasimodo — podałem następ-
ną możliwość.

Wziął teczkę i wyszedł zaskoczony,
jakby przyniesiony ciężarem nowego
imienia. Dla siebie dotąd był tylko Pio-
trem Kowalskim, człowiekiem, który ni-
czym nie wyróżniał się z setek, tysięcy
innych, tworzących zagoniony, szary
wielkomiejski tłum. Dotąd. Znałem go
bowiem na tyle, iż mogłem się założyć,
że od chwili, w której dowiedział się o
przezwisku, będzie myślał, analizował,
dłubał w nim jak w złotej żupie.

Przyszedł do mnie późnym wieczorem,
w sobotę.

— Chciałem ciebie o coś zapytać —
wyjąkał.

— No?

— Kto to jest Klaudiusz, to wiem. Ale
mówiłeś, że mógłbym mieć inne prze-
zwisko. Tylko zapomniałem.

— Quasimodo — powtórzyłem ze zło-
śliwą satysfakcją.

— O! Właśnie! — krzyknął ucieszony.

— A kto to był?

Spojrzałem na jego brzydką twarz, ty-
siejącą głowę, chude, nieforemne czoło.
Milczał, więc w tej chwili się nie jakął,
ale gdy mówił, zaczynał się niemożliwie.
Zrobiło mi się go szkoda.

— Taki... — średniowieczny rycerz —
mrunknąłem obojętnie.

Zamyślił się.

— Wiesz — podjął po chwili — Mały-
sek wyciągnął mi z szafy trzy szwedzkie
książki. Na bazarze dałem za nie półtora
patyka.

— Po co ci te książki? Znajdź sobie

dziewczyne, nie będziesz musiał patrzeć
na książki. — Chciałem go trochę roz-
złościć. — Wiesz — ciągnąłem — niektó-
rzy mówią, że ty do kobiet nie bardzo.

Zaśmiał się aż zabrzęczały szyby, a
później powiedział:

— Niech sobie mówią. Czego oni mnie
tak nie lubią? Ja ich zresztą też. Nie
ufam ludziom. Nie — potwierdził sta-
nowczo. — Już się przekonałem. Ludziom
nie można ufać. Chociaż czasem chciał-
bym. Ale co zrobić.

— Tak ci dopiekl?

— Żebyś wiedział. Ale to już moja
sprawa.

— Jak chcesz — odezwałem się praw-
dźwie obojętnie, bo coś mnie w końcu
obchodził los Klaudiusza czy Kowal-
skiego.

— To jakie to drugie przewisko? —
przerwał milczenie.

— Quasimodo — warknąłem.

— O! I mówisz, że to był rycerz?

— Rycerz.

— Hm. Ja, rycerz. Dlaczego rycerz?

*

Prowadził mnie do kolejowej stołówki,
gdzie za dziewiętnaście złotych można
zjeść dwudaniowy obiad. Przez znaczną
część drogi nie odzywałem się do nie-
g. Miałem w szafie konserwy, makaron
i zamierzałem przyrządzić jedzenie sam,
ale zapukał w południe i dałem się wy-
ciągnąć.

— Daleko jeszcze? — zapytałem, kiedy
zaczął siąpić deszcz.

— Jak ty się czasem odezwasz, to aż
mnie przechodzą ciarki. Jak wypijesz,
jesteś fajny, ale na trzeźwo...

Spojrzałem na jego wymięty, popeli-
nowy płaszcz i nie prasowane, chyba
od nowości, spodnie w jasne, szerokie
pasy. Zaśmiałem się.

— To w tym podwórku — powiedział
po kilkudziesięciu metrach.

Tuż obok stojącego przy torach bu-
dynku była przybudówka, z której do-
latywał zapach gotowanej kapusty.

— Zajmij miejsce, ja kupię — zako-
menderowałem i stanąłem w kolejce.

Usiadłem przy wolnym stoliku i przy-
glądałem się jadącym. Siorbali, bębni-
li łyżkami jak podwórkowa kapela.

— Znowu jesteś zły — zauważył Klau-
diusz, niosąc talerze z rosółkiem.

— Tłuką, skurczybyki, aż mi będą w
uszach.

— Bo to przezwanie fizyczne — wy-
jaśnił. — Sam wiesz.

Rosół, owszem, był zóły jak mlece
i tym tylko przypominał ten, który w
domu robiła matka. Kotlet i kapusta by-
ły znacznie lepsze.

Na dworze dla odmiany świeciło wio-
sennie słońce. Wąska ulica szybko wy-
pełniała się ludźmi. Doszliśmy do wnio-
sku, że maleńkie piwo nie powinno nam
zaszkodzić.

Bar miał potoczną nazwę „Pod cycem”.
Był szary od dymu, śmierdzący stęchliz-
ną i szczynami.

— Mam ochotę zdrowo popić — wy-
jąkał Klaudiusz po szóstym kufku. — Nic
się nie martw, ja stawiam.

Siedzieliśmy w kącie przy małym sto-
liku, a tuż obok trzy dziewczki. Byłem na-
bity piwem jak beczka. Nie miałem siły,
żeby się sprzeciwić, zresztą nawet nie
bardzo chciałem. Wiedziałem, że dzień
tak i tak diabli już wzięli, a w tym ką-

ciku, przez uchylone okno wkładał się
powiew świeżego powietrza, było mi do-
brze...

Rozkręcił się tej niedzieli jak nigdy.
Wieczorem wtoczył się do mojego poko-
ju i powiedział:

— Przeczytaj. To na konkurs w jakiejś
gazecie. Polonistka kazala, to napisałem.

Patrzyłem na piękne, kształtne litery.
Ostatni raz widziałem takie u nauczy-
cielki, która uczyła mnie kaligrafii.

— To twoje pismo?

— A czyje?

— Ładne.

— Hm. Ty mnie jeszcze nie znasz.

Przeczytałem?

— Chętnie, Klaudiusz — skłamałem,
bo trochę szumiło mi w głowie i mia-
łem zamiar spać. Byłbym też najpewniej
tak uczynił, ale te litery wprost doma-
gały się przeczytania.

Klaudiusz pisał, że on, wnuk i syn
robotnika, nigdy nie chciał być robotni-
kiem i nie wierzy, że na świecie jest
ktoś taki, kto chciałby do śmierci ciężko
pracować po to, żeby nosić miano robot-
nika. Pisał, że natrącił się na nabrzmia-
łe, sekate rece ojca, nasłuchiwał się jego
kaszlu, natęsknił, kiedy ojciec przez całe
dnie tyrał w żwirowni, bo odepchnięty
przez kolegów, których ojcowie nosili
krawaty, musiał waleśać się sam. W dłu-
gim wstępie, w znacznej części poświę-
conym ojcu, często podkreślał, że on, na
przekór losowi zniszczy rodzinne trady-
cje i, jak to określił, zostanie kimś. Póź-
niej następował zapis kolejnych dni wiel-
kiej budowy.

Denerwował mnie ten Klaudiusz, de-
nerwował wszystkich, ale też wyróżniał
się spośród nas jakimś niezwykłym upo-
rem, pragnieniem zostania kimś i prze-
życia czegoś niesprecyzowanego, czego
istnienie tylko podejrzewał.

Nie zdążyłem jeszcze się rozpakać,
gdy w pokoju zjawił się Klaudiusz. Za-
pytał o urlop i kręcił się po nim z wi-
docznym zamiarem nawiązania bardziej
konkretniej rozmowy.

— Przyszedłem pogadać. Czasem czło-
wieka zbierze... Napijmy się wódki, co?

— Wziąłeś się za kielich, Klaudiusz?

— Skądże! — zaprotestował gwałtownie.

— Trzymałem dla ciebie. No, żebyś
my razem wypili za te egzaminy.

— Jak tak, to dawaj.

Wziąłem się za robienie kanapek, bo
wiedziałem, że on może umrzeć z głodu
koło bochenka chleba, a sam nie ukroił.
Kiedyś napomknął, że w domu nie po-
zwalało, żeby sam kroił i to w nim zo-
stało.

Ruszyliśmy ostro. W połowie butelki
Klaudiusz zaśmiał się cicho, za chwilę
znów, ale już głośniejszym głosem, zaczął po prostu
ręczyć. Pomyślałem, że dzieje się z nim
coś niedobrego. Miałem zamiar oblać go
wodą, ale uspokoił się, powycierał łzy i
powiedział:

— W tym pamiętniku to pociulałem.
Z tym ojcem robotnikiem. Nie wiem, kto
jest moim ojcem. Matka była dziewczką,
jak ta... Ale ja będę kimś. Jeszcze se-
mesr. Będę kimś — powiedział twardo,
zdecydowanie, bez zająknięcia i aż wy-
ładniał.

Krew

Król polski miał zwrócić się do papieża
z prośbą o relikwie. Papież zgodził się,
ale wpiw nakazał posłom królewskim
powrócić do Kraju nad Wisłą i przy-
wieźć stamtąd garść ziemi. Gdy tak się
stało, papież ścisnął tę odrobinę ziemi
w dłoni i z ziemi pociekła krew. Papież
rzekł: Wasza męczeńska ziemia jest re-
likwią. Czciście ją.

Z bardzo starej legendy

Oto Stare i Nowe —
za papieża dawnych wieków
nabiegła nią
ledwie ziemi garstka
a i to trzeba ją było
mocno ścisnąć w dłoni
a dziś
gdy Biały Pielgrzym
dotknął tej ziemi ustami
i to tylko w Warszawie
i tylko w Oświęcimiu
trysnęła krew
od gór do morza
i rozlała się po świecie
10 VI 1979

Starszy pan podszedł do te-
lewizora, nacisnął czarny klawisz.
Światło uciekło w głąb,
głos zamilkł. Kilkakrotnie
przemierzył pokój wzdłuż i
wszerz, wreszcie stanął przy
uchylonych drzwiach kuchni:
„Proszę mi teraz nie przeska-
dzać, muszę napisać bardzo
ważny list” — wyrzucił pod-
niecony. Po chwili przygarbił
się nad biurkiem i długo me-
dytował. Dłonie leżały po obu
stronach pulpitu. Po minucie
otwierały szuflady, grzebały w
papierkach, segregowały fakty.
Pilny obserwator dojrzałby w
twarzy jakieś napięcie, niepo-
kój, niezdeterminowanie. „Nie,
przecież to nie ma żadnego
sensu” — powiedział starszy
pan. A mimo to nie przerywał
czynności. Już bielił się i sze-

Ujawniałem prawdę, wytyka-
łem zło, stałem za człowiekiem
pracy, za jego racją bytu. Ta-
kie było moje powołanie. Tak
rozumiałem Socjalizm. Nie
każdemu się to podobało, wie-
le zniósłem szykan i upoko-
rzeń. W konsekwencji, obaj
przegraliśmy. Ja musiałem o-
dejsz pierwszy. Pan znacznie
później, po latach opuścił za-
kład. To przeniesienie mnie
na inne stanowisko spowodowa-
ło wówczas w mojej psy-
chice wiele szkód. Mimo po-
zornego pogodzenia się, próbo-
wałem początkowo bronić
swoich racji. Wynętrzałem
się przed wieloma. Mało kto
chciał mnie słuchać, a jeśli na-
wet wybrany przeze mnie
„wybawca” nie zerkał na ze-
garek, to spuszczał nisko gło-

LIST DO SZEFA

Aleksandra Ochalska

leścił papier. Pióro sterczało w
dłoni.

„Szanowny Panie — pisał. —
Wiem, że list ten może Pana
zaskoczyć, zdziwić, może na-
wet poganić — czego bym
nie chciał. Pozwól sobie jed-
nak zająć Panu trochę czasu i
przypomnieć pewne sprawy.
Dla mnie — mimo upływu cza-
su — bolesne. Dla Pana za-
pomniane. Długo zastanawia-
łem się, czy warto. Jestem już
stary i zmęczony życiem. Po-
bieram niewielką emeryturę,
nadal pracuję społecznie. Zimą
czytam, latem podlewam kwiat-
ki na działce i mimo wielu
dolegliwości i cierpień jakoś
się żyje. Ale czy to jest życie?

Robak jak gryź, tak gryzie w
środku i zżera resztki sił i na-
dzieje. Tyle się dzieje ostatnio
w Polsce złego i dobrego, że
trudno, aby i starego nie po-
ruszyło. Ta ożywiona dyskusja,
przynawanie się do błędów,
samokrytyka, tu i ówdzie
przykłady naprawy. Cała ta
atmosfera odnowy rzuca nowe
światło, napawa otuchą. Pisząc
do Pana, nie chodzi mi wcale
o oskarżanie kogoś. Zbyt wiele
ludzi zawinilo wówczas. W
grę nie wchodzi tu również
żadne korzyści materialne.
Pewnych faktów nie da się
wykreślić. Za późno. Wszystko
jest już poza mną. Proszę tyl-
ko o jedno, żeby mnie Pan
wysłuchał, i nie spoglądał na
zegarek. Dlaczego właśnie ja?
— zapyta Pan. Ktoś przecież
musi to zrobić — odpowiem.
I jeszcze dlatego, że właśnie
Pan był wtedy moim zwierz-
chnikiem. I właśnie Pan mógł
pomóc. Niech Pan nie zaprze-
cza! Miał Pan ku temu wa-
runki: stanowisko, znajomość
sprawy, możliwość decydowania.
Nie starczyło Panu tylko od-
wagi. Nie było dobrych chęci,
żeby pomóc bliźniemu. Bał się
też Pan o swój stołek! Moim
zadaniem i obowiązkiem była
w tym trudnym czasie — o-
chrona interesu społecznego.

wę. Był to znak winy czy
bezdolności, tego nie wiem.
Osamotniony, odsunięty od
wszystkiego, gorzej wynagrod-
zany, często wysmiany, traci-
łem siły i wiarę do dalszej,
nierównej walki. Ogarnęła
mnie pustka i bezsens istnie-
nia. Rozchorowałem się na
długo. Lekarz pytał kto mnie
tak wykończył. Odpowiedzia-
łem, że to ja sam doprowadzi-
łem się do takiego stanu. Im
więcej myślałem, tym byłem
głupszy. O co tu chodzi, gdzie
jest prawda?

Robotnik, jak źle, idzie lawą.
Inteligent niestety zostaje sam.
Mówią, że prawda jest pięk-
na i że tę najprawdziwszą
wykrzykuje zazwyczaj wariat.
Ja uważam, że prawd jest du-
żo, każdy ma swoją. Akurat
moja nie była zachwycająca.
Stałem się apatyczny i skryty.
Długo jeszcze tkwiłem na szpi-
cie, jak jeden z wielu kole-
cjonowanych motyli. Lecz ży-
cie nie pozwala brnąć w bez-
ruch! Każdy dzień przynosi
coś nowego, stwarza inne mo-
żliwości, wyzwala dodatkową
energię. Mając czyste sumie-
nie wobec człowieka, ulegałem
powoli jego sugestii, jego sło-
wom i nowej prawdzie.

Proszę wybaczyć, że zdoby-
łem się na to po latach — i
napisałem. Musiałem to zrobić,
niech Pan zrozumie. Szczerze
mówiąc zdopinguje mnie
do tego telewizja. Tyle teraz
ciekawych wystąpień.

Wielu moich towarzyszy o-
dszło już na zawsze. Ja chcia-
łbym zachować do ostatnich
dni nadzieję, że moja praca i
moja walka nie poszły na
marne. Nie będę tu sugerować,
co Pan ma zrobić, jak posta-
wić. Naprawdę, dla mnie już
nic nie można i nie o to cho-
dzi. Ważne, że Pan cierpliwie
przeżył do końca mój list.
Wysłuchał starego człowieka i
pożaluje.”

Starszy pan odłożył pióro,
zjął okulary i... zasnął.

Nie brakuje dzisiaj głosów kwestionujących sens rozmawiania o sprawach kultury, tak bardzo odległych od kłopotów i trosk dnia powszedniego. Nie są wcale odosobnione poglądy, iż z wszelkimi szeroko zakrojonymi planami w tej dziedzinie należy poczekać do czasu, kiedy ludzie będą mieli gdzie mieszkać, co jeść i czym jeździć. To znaczy poczekać — do nigdy. Jak bowiem uczyć o tym doświadczenia także z naszej przeszłości, nigdy nie osiągniętych stanu absolutnej sytości pod każdym względem, a i to oczekiwać można, iż społeczeństwo zaspokojone w dziedzinie swoich elementarnych potrzeb nawet nie zechce schylić się po książkę, czy wyjść z ciepłego mieszkania by odwiedzić kino, teatr czy salę koncertową. Wcale nie są rzadkie przykłady bogatych społeczeństw, które mają już gdzie i za co chłonać sztuki, ale już tego nie chcą czynić.

Bardzo bylibyśmy pożądanymi, aby ta apokaliptyczna wizja społeczeństwa konsumpcyjnego, kontentującego się w dziedzinie kultury jedynie siecią telewizyjną, nigdy nam nie zagrażała. Na razie nie zagraża nam wizja społeczeństwa wszechstronnie nasyconego, póki co więc — nie mogąc nastarczyć ludziom mieszkań, żywności i ubrań dostarczajmy im kultury. Muzyka (i zapewne nie tylko muzyka) łagodzi obyczaje — jak o tym ongiś zapewniał Platon. I jak to ktoś powiedział: jeżeli ludzie muszą być głodni, niech będą przynajmniej kulturalni.

Jeżeli w takim trudnym momencie musimy zastanowić się nad tym, czym jest kultura naszego miasta i jaka być powinna, to nie dlatego, że cierpimy na nadmiar środków. Jakże znamienne były pod tym względem pierwsze lata powojenne. Nie było wtedy na pewno lepiej ani łatwiej, było chyba bardziej głodno i brakowało dostojnie wszystkim. Przecież jednak właśnie w 1949 roku rozpoczęta została w Łodzi budowa Teatru Narodowego, który stał się ostateczną siedzibą łódzkiej opery. Czy nie było wtedy pilniejszych potrzeb? czy mieliśmy wówczas dość szkół, szpitali, mieszkań? Teatr ten budowano przez lat kilkanaście. Nie można się jednak oprzeć przeświadczeniu, że gdyby nie podjęto jego budowy już wówczas, to nie mielibyśmy go do tej pory. Zawsze bowiem byłby ważniejsze potrzeby — z hutami-gigantami, pałacami dla administracji i okazałymi rezydencjami dla wybranych.

To powiedziawszy czuję się upoważniony do wypowiedzenia kilku poglądów na temat — mnie samemu najbliższy, a mianowicie na temat sytuacji i roli muzyki w naszym mieście. Z pozoru sądząc jest Łódź nieledwie uprzywilejowana — ma znakomitą Teatr Wielki, którym w swoim czasie entuzjastycznie się sam wielki Waldorff (uchodzący w wielu kręgach za absolutną wyrocznię w sprawach muzycznych), mamy świetny zespół Filharmonii, przywołujący z każdej zagranicznej wyprawy znakomite recenzje. Mamy Teatr Muzyczny na przyzwoitym poziomie i taka trójca najważniejszych instytucji istnieje chyba naprawdę w niewielu polskich miastach wojewódzkich. Mamy szczytującą się wielościanami pedagogicznymi Wyższą Szkołę Muzyczną (jak wieść gminna niesie — wkrótce Akademię), Wreszcie Łódzkie Towarzystwo Muzyczne i Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków, jednocześnie reprezentantów naszego środowiska muzycznego. Własne koło Związku Kompozytorów Polskich — nieliczne, ale znaczące, duży zastęp artystów solistów z różnych dziedzin, wśród nich wielu laureatów międzynarodowych konkursów, muzyków z tak zwanymi wielkimi nazwiskami. Mamy sporo inicjatyw społecznych, polegających na podejmowaniu nietypowych form działalności, z bardzo różnym zresztą skutkiem.

To co wymieniałem, nie stanowi wcale jeszcze wszystkich stron naszego życia muzycznego. Co z tego wszystkiego wynika dla miasta, dla społeczeństwa, dla mieszkańców naszego województwa? Z całą pewnością nie ma tu splendoru dla miasta, gdy zagraniczna delegacja można — po wyczerpujących rozmowach — zaprosić wieczorem na przedstawienie w Teatrze Wielkim lub na koncert kameralny do uroczej sali Muzeum Historii Miasta Rządziej niestety — i ze zrozumiałych względów — chodzimy do Filharmonii (m. in. w obawie o całość naszych ukłw), a co do Teatru Wielkiego — ukrywamy wstydliwie ten żalostny fakt, że nasza świetna scena operowa, mieszcząca się w naprawdę pięknym obiekcie, nie ma gdzie składać dekoracji... Odnosi się także wrażenie, że każdy wyjazd naszej Filharmonii przyjmuje się z niejaką ulgą, bo po pierwsze znów w dalekich krajach będzie się mówiło o Łodzi nie tylko jako o stolicy przemysłu włókienniczego, a po drugie przez ten czas można się będzie zastanawiać, co dalej z tą naszą nieszczerą córą Polihymni? chyba zresztą córa z nieprawego łoża, bo wprawdzie roś-

nie i rozwija się znakomicie, ale bardzo trudno ją wywianować...

Życie muzyczne naszego miasta to oczywiście nie tylko Filharmonia, Teatr Wielki i Teatr Muzyczny. To także różne ciekawe inicjatywy społeczne, które przyjęły się od dawna i mają swoje ważne miejsce w skali krajowej. To m. in. jedyny w swoim rodzaju Festiwal Twórczości dla Dzieci DO-RE-MI, zrodzony z inicjatywy kilku łódzian — zapaleńców. Jednak ten ciekawy przegląd utworów adresowanych do dzieci ma np. kolosalne trudności z udośćwianiem zainteresowanym odbiorcom nagrodzonych i wyróżnionych utworów. Nie chodzi przecież o to, aby jedynie wysłuchiwać kilkudziesięciu utworów i niektóre nagrodzić, chodzi o to, aby te utwory pożyć w świat, do dzieci. Jak to zrobić, skoro brakuje papieru nawet na gazety (nie mówiąc już o innych, bodaj czy nie ważniejszych potrzebach...), a nasze kłopoty poligraficzne są już legendarne.

Z inicjatywy społecznej zrodziła się chyba jedna z ciekawszych imprez muzycznych w naszym mieście, „Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej”, organizowane przez naszą Filharmonię. O ile impreza ta cieszy się stałym i niezmiennym zainteresowaniem publiczności, o tyle jej organizatorzy stale ograniczają jej rozmiary. Kiedyś było to 8 koncertów (w r. 1989), dziś 4—5 — dlaczego?

Przez okres kilkunastu lat działał w Łodzi Zespół Wokalny „Bel Cantato”. Zakończył swoją prawdziwie chlubną działalność przed rokiem, nie widząc szans dalszego bytowania. Trudno powiedzieć, ilu łódzian tak naprawdę tym się zmartwiło. W Łodzi Zespół Wokalny „Bel Cantato” zakończył swoją prawdziwie chlubną działalność przed rokiem, nie widząc szans dalszego bytowania. Trudno powiedzieć, ilu łódzian tak naprawdę tym się zmartwiło.

Zresztą zespół ten podzielił tylko los innego, zrodzonego także ze społecznej inicjatywy — była to Łódzka Orkiestra Kameralna „Pro Musica”, koncertująca w Polsce i wielu krajach Europy przez szereg lat. Poprosiła orkiestra rozpadła się, muzyki podjęli pracę w innych zespołach, a założyciel i szef tej orkiestry swoją wiedzę w tej dziedzinie przekazuje Orkiestrze Kameralnej w Toruniu, zresztą z doskonałym skutkiem.

W swoim czasie ze społecznej inicjatywy zrodzona została Opera Łódzka (przewodniczącym Stowarzyszenia Przyjaciół Opery był przecież sławnej pamięci Bolesław Busiakiewicz). Objawiając w posiadanie Teatru Wielki przez wiele lat zespół tej opery imponował znakomitymi premierami, a o bilety na premiery i przedstawienia było wówczas trudniej, niż obecnie na Konfrontacje Filmowe. W tym względzie w naszym środowisku panuje zgodna opinia, że początkowe lata działalności Teatru Wielkiego w Łodzi to lata najlepsze. Wtedy zrodziła się inicjatywa znakomitych Spotkań Baletowych i stała wymiary z innymi zespołami (np. opera w Lipsku i Gruzji), lekkomyślnie zaniechanych przez jednego z kolejnych (a było ich już wielu) dyrektorów teatru. W swoim czasie pochopnie pozbyto się pierwszego dyrektora tego teatru, znakomitego organizatora, Stanisława Piotrowskiego, potrzebne bowiem było miejsce — synekura dla urzędnika, który musiał odejść z Urzędu Miejskiego! Na szczęście jego kadencja nie trwała długo. A później już poszła w ruch normalna karuzela — zmienił się dyrektor, kierownicy artystyczni, a poziom teatru szedł niustannie w dół. Jeszcze zdarzały się znakomite kreacje i świetne premiery, coraz częściej jednak wzdychano do niedawnej przeszłości.

Środowisko nasze z dużą nadzieją patrzy na poczynania obecnego dyrektora Teatru Wielkiego (którym jak wiadomo jest Janusz Cegiella). Jego zapał i znajomość rzeczy rokuja jak najlepiej. Oby jednak starczyło mu cierpliwości na jak najdłuższy czas i aby uzyskał dla teatru tak bardzo potrzebne magazyny!

Trudno niestety z optymizmem patrzeć na przyszłość naszej Filharmonii. Nie obawiamy się o zespół

— ten jest znacznie odmłodzony, bardzo sprawny i rzuca jak najlepiej. Gorzej z kierownictwem. Po odejściu Henryka Czyżyńskiego trudniej o jego godnego następcę na dłuższy okres. Z całą pewnością nie zachęcają pogarszające się perspektywy tej zasłużonej instytucji. Przypomnijmy sobie, że o budowie nowej siedziby dla Filharmonii w Łodzi mówi się od 26 lat! Kiedy bowiem w 1955 roku Henryk Czyżyński obejmował kierownictwo muzyczne, ówczesne władze przyrzekały podjęcie budowy odpowiedniej siedziby, odpowiedniej nie tylko dla instytucji, ale stosownej do potrzeb i ambicji społeczeństwa drugiego miasta w Polsce. Chciałoby się zapytać — gdzie są ci ówczesni wielcy obywateli? Na placówkach zagranicznych, czy na dobrze zastawionych emeryturach?

Wracając jeszcze raz do tej sprawy (a zapewne jeszcze nie raz się będzie o tym mówiło dzisiaj) — jest znakomita lokalizacja: na Głównej przy Kilińskiego, jest doskonały projekt (którego autorem jest inż. Millo) wyłoniony w drodze konkursu. Gromadzi się pieniądze m. in. ze środków społecznych. Na co więc jeszcze czekamy i jak długo zamierzamy czekać?

Ostatnio wynika jeszcze jedna zastanawiająca sprawa, związana z wielce prawdopodobną koniecznością zamknięcia dotychczasowej siedziby

Filharmonii, zagrożonej po prostu zawaleniem. Orkiestra gdzieś jednak grać powinna. Pierwsze propozycje dotyczyły udostępnienia przez jeden wieczór w tygodniu sceny Teatru Wielkiego. Zaprotestowali przeciw temu ludzie teatru. Wobec tego kino „Baltyk”, dysponujące salą o odpowiedniej akustyce, zaprotestował nie tylko Okręgowy Zarząd Kin, ale i pracownicy „Baltyku”. Dzisiaj łatwo jest zresztą protest ubrać w formę strajku i wiadomo — władze się ugną. Muszą się ugiąć. Jest to w sumie bardzo smutne, gdy górę stają partykularne interesy niewielkich w gruncie rzeczy grup społecznych. A Filharmonia staje w sytuacji niechcianej przez nikogo.

Łódzkie środowisko kompozytorskie jest jak się rzekło bardzo nieliczne. Nie ilość jednak, lecz jakość świadczy o jego wartości. Wśród naszych twórców są kompozytorzy, bez których trudno byłoby sobie wyobrazić życie muzyczne — np. stała współpracą Kazimierza Dejmka z kompozytorem Tomaszem Klessew-



Foto: R. Lucyszyn

terem wydała tak znakomite rezultaty, jak „Święto Winklerieda”, czy z nowszych premier „Operetka” Gombrowicza czy „Lekarza mimo woli”. Z całą pewnością Klessewetter jest wybitnym współtwórcą sukcesów odnoszonych przez Teatr Nowy, choć pisanie muzyki dla tego teatru jest tylko jedną z dziedzin jego twórczości. Niektórzy kompozytorzy współpracują stale z Filmem Polskim, mając na swym koncie wiele osiągnięć. Piotr Marczewski miał premierę swojej bajki „Przygody Pana Kleksa” w łódzkim Teatrze

Wielkim, Piotr Hertel współpracuje m. in. z Teatrem im. Jaracza (przynajmniej wystarczy doskonały „Leżem”). W poczynaniach naszych kompozytorów nie brakuje tematów ściśle łódzkich — Jerzy Bauer to nie tylko autor utworu „Westerplatte” do słów Gałczyńskiego (utwór ten stał się w kraju czymś w rodzaju chóralnego przeboju), ale i dzieła „Pomnik krzyżacy”, odnoszącego się do Radogoszcza.

Inny z twórców, Bronisław Przybylski, ma na swym koncie m. in. muzykę żałobną „Radogoszcz” oraz dużych rozmiarów oratorium — „Requiem — pamięci dzieci ofiar wojny”, napisane dla upamiętnienia martyrologii polskich dzieci w obozie na Przemysławie. Niestety, utwór ten napisany w roku 1976 doznał się wykonania jedynie we fragmentach. Nie wiemy nawet, czy jest dobry czy nie. Adresat, czyli nasza Filharmonia, nie wyraża większego zainteresowania dziełem. Można byłoby w tym miejscu zapytać — komu powinien być bliższy temat wojennej gehenny dzieci z ul. Przemysławskiej, jeśli nie Filharmonii w Łodzi? Czy prawykonywanie powinno odbyć się np. w Rzeszowie?

Społeczne inicjatywy łódzkiego środowiska muzycznego przyniosły także takie imprezy, jak organizowane co kilka lat przez Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną konkursy wykonawcze dla studentów wyższych

szkół muzycznych. O ile jednak pierwszy taki konkurs w roku 1961 miał bardzo szeroki zasięg, a fundatorami nagród były m. in. łódzkie zakłady pracy, o tyle obecnie znaczne ograniczenie programu, a co za tym idzie i ilości uczestników, bardzo zmniejszyło zasięg oddziaływania imprezy. Jest to dzisiaj wyłącznie impreza szkolna.

Zorganizowany przed kilku laty przez Łódzkie Towarzystwo Muzyczne Ogólnopolski Konkurs Śpiewaczy miał być w założeniu reprezentacyjnym konkursem łódzkim. Niestety, nie przemyślisz sprawy do końca, „sprzedano” ten konkurs Katowicom, podejmując się w zamian organizacji konkursów akordeonowych — ani ta ranga, ani pożytek.

Natomiast utworzony w Łodzi przed laty Konkurs Gitarowy jest naszą dumą. Właśnie w Łodzi przy Ludowym Instytucie Muzycznym powstał przed laty ośrodek gitarowy, dzięki czemu pierwsza w Polsce klasa gitary klasycznej w PWSM wychowała już własnego docenta i adiunkta, a i laureatów konkursów międzynarodowych nie brakuje. Konkurs ten w niedalekiej przyszłości odbywać się będzie w trzech grupach — jako konkurs wykonawczy, konkurs kompozytorski i konkurs lutniczy. Ta impreza jest z pewnością słusznym powodem do naszej dumy.

Z inicjatywy społecznej zrodziły się także inne imprezy, jak organizowane co roku z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki koncerty monograficzne, poświęcone wybitnym twórcom. Organizator imprezy, Łódzkie Towarzystwo Muzyczne, prezentowało kolejno twórczość Witolda Lutosławskiego, Grażyny Baciewicz (zresztą łódzianki), Aleksandra Tansmana (łódzianina, zamieszkałego od lat w Paryżu i bardziej znanego na obczyźnie, niż w Polsce). Kompozytor ten zresztą przy tej sposobności odwiedził swoje rodzinne miasto. Co roku też prezentuje się na specjalnym koncercie twórczość Karola Szymanowskiego (patrona Towarzystwa), a w przyszłym roku w cyklu koncertów wspólnie z Filharmonią i Teatrem Wielkim wykonanych będzie większość dzieł tego wielkiego twórcy, którego setna rocznica urodzin będzie uroczystie obchodzona przez cały świat pod patronatem UNESCO.

Inicjatywa społeczna, to także „Dni Bachowskie” — reprezentacyjna impreza Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego, której powodzenie zachęca do kontynuowania takich poczynañ.

Jeżeli jest tak dobrze, to czego jeszcze właściwie potrzeba? Otóż przytoczywszy te wszystkie informacje czuję się upoważniony do stwierdzenia, że zarówno z uwagi na wielość i wartość inicjatyw społecznych, jak i rodzaj i wagę ewidentnych „dokonań instytucji, łódzkie środowisko muzyczne z całą pewnością zasłużyło sobie na pełne zaspokojenie jego potrzeb. Wykazało też to środowisko pełną gotowość służenia społeczeństwu. Potrzeby łódzkiej muzyki do-

tyczą nie tylko inwestycji, choć i o nich nie wolno zapominać. Nasze wnioski dałoby ująć się w następujący sposób:

1. Należy bezwzględnie konsultować z przedstawicielami naszego środowiska kandydatury na kierownicze stanowiska w instytucjach artystycznych. Być może dałoby się w ten sposób uniknąć rozczarowania, jakie w przeszłości wynikało z zafascynowania świetnym kiedyś nazwiskiem.

2. Należy dążyć do stałego podnoszenia atrakcyjności naszego życia muzycznego, a mianowicie organizować wymienne koncerty naszej Filharmonii z innymi zespołami w kraju (casus WOSPR w Poznaniu, Filharmonia Narodowa), a także koncerty orkiestr zagranicznych przebywających w Polsce np. podczas Warszawskiej Jesieni. To samo dotyczy też Teatru Wielkiego.

3. Należy reaktywować i utrzymać w stałym zwyczaju Spotkania Baletowe (to ostatnie już się zresztą realizuje).

4. Konieczne są stałe koncerty kameralne i recitale wybitnych solistów polskich i zagranicznych. Dla tego celu świetnym miejscem jest sala w Muzeum Historii Miasta; brak w niej jedynie... przyzwoitego fortepianu.

5. Celowe jest powołanie do życia reprezentacyjnego Festiwalu Muzycznego, który trwałby przynajmniej 15—20 dni i swoim zasięgiem obejmowałby miasto naszego województwa i województw przyległych. Wzorem może tu być doskonały Bydgoski Festiwal Muzyczny, odbywający się równocześnie w Chełmie, Toruniu, Grudziądzu, Inowrocławiu, Bydgoszczy i Luboszeniu. Praktyka wykazuje bowiem, że takie właśnie odświętne, zmasowane niejako formy prezentacji sztuki są wielce atrakcyjne dla słuchaczy, których z reguły wtedy nie brakuje. (W swoim czasie takim Festiwalem Sztuki miała być Łódzka Wiosna Artystyczna, jednakże skończyła swój cokolwiek rachityczny żywot. Nawet nie bardzo wiadomo, czy warto byłoby ją reanimować czy może ekszumuować).

6. W naszej prasie o sprawach kultury pisze się ostatnio coraz więcej. To cieszy wszystkich. Na szczęście do przeszłości należy pójść, jaki sam słyszałem przed laty — po co pisać np. o muzyce, skoro interesują się nią tylko nieletni? Właśnie dlatego pisać trzeba, aby zainteresowania rozbudować. Zresztą, jeżeli o czymś nie pisze się w ogóle, to widocznie o tym pisać nie warto, ergo rzecz ta właściwie nie istnieje, także panuje przekonanie. W dalszym ciągu aktualna jest potrzeba rozwijania rzetelnej krytyki i publicystyki artystycznej, realizowanej np. w specjalnym dodatku kulturalnym, a na pewno w szerszym zakresie w „Odgłosach”.

7. Wreszcie sprawa inwestycji. Chcę tu z całym przekonaniem podkreślić, że nasze środowisko jest zdania, iż należy bezwzględnie dążyć do zaspokojenia potrzeb obywateli zagrożonych w swoim bytowaniu instytucji — Muzeum Sztuki i Filharmonii. Taką jest zresztą opinia wszystkich stowarzyszeń i związków twórczych w naszym mieście. Jednakże zdajemy sobie sprawę z rozmiaru zadań, jakie w tej dziedzinie nas czekają. Dlatego poddajemy pod rozwagę wszystkich propozycje, aby spróbować połączyć dwie pozornie sprzeczne idee i podjąć starania o budowę w Łodzi jednego wielofunkcyjnego obiektu (niekoniecznie wzorowanego na Centre Pompidou w Paryżu). Naszym zdaniem obiekt taki winien być bezwzględnie usytuowany w śródmieściu (chyba w rejonie ulicy Głównej), aby zapewnić dobrą komunikację i aby śródmieście było rzeczywistym centrum miasta.

Obiekt taki winien zawierać: centralną część recepcyjną, budynek czy salę Filharmonii, budynek ekspozycyjny dla Muzeum Sztuki, zapewne też salę kinowo-teatralną; może także przywołaną restaurację? Taki obiekt musi kosztować w sumie mniej, niż każdy osobno budowany, zwłaszcza gdy w rachubę wchodzić będą teren nieuzbrojone czy wręcz wymagające ochrony ekologicznej, jak park na Zdrowiu. A społeczeństwu naszemu naprawdę winni jesteśmy zapewnić możliwość godziwego spędzania czasu. Winniśmy stworzyć warunki dla tych, którzy swoją działalnością dowiedli, że stać ich na wiele, że potrafią i chcą. Budujemy nie dla siebie, budujemy obiekty, z których dumni powinni być nasi wnukowie, za kilkadziesiąt lat.

Oczywiście, że nas na to nie stać obecnie. Budujemy wobec tego etapami, ale według jednolitej koncepcji, która nie będzie zmieniana razem ze zmianą władz. I nie może to być budowa oszczędnościowa typu kuchnia bez okna. Oczywiście — dzisiaj nas na to nie stać. Coś jednak zrobić trzeba i to już dzisiaj. Przysłówie bowiem mówi: w momencie kiedy wreszcie stać nas już na dzieci, mamy wtedy już wnuki.

(Głos w dyskusji podczas sesji Rady Narodowej m. Łodzi.)

Kolejna polska odnowa zda się być niepodobna do poprzednich. Pod wieloma względami. Również w reakcjach publiczności literackiej (celowo nie używam ciągle jeszcze zobowiązującego, choć nieustannie deprecjonowanego, słowa „krytyka”). Początkowo wypowiedzi (sporadyczne zresztą, jeśli nie liczyć ankietowej akcji wydawniczej „Faktów”) cechowała się dostojnością, świadomością powagi sytuacji, styl konfesyjny i profetyczny zarazem. Śmiem sądzić, iż w większości przypadków były to reakcje spontaniczne, nie więc dziwnego, że zasób ich stosunkowo szybko uległ wyczerpaniu. Po wypowiedziach zasadniczych, których autorzy zapewne tkwią nadal w przeświadczeniu, iż szybko i zdecydowanie rozstrzygnęli podstawowe dla współczesnej literatury sprawy, zapanowała cisza, przerywana jedynie wywiadami i rozmowami. Publicystyka bowiem skoncentrowała się — i słusznie — na zjawiskach bieżących i zdecydowanie w tym momencie ważniejszych.

Tymczasem nadeszła pora, by uderzyć w pamphletową nutę. Przejaskrawienie, kpina, gozyc, emocja pasują do gorącej atmosfery naszych dni. Argumentem nadadzą posmak głębokiej samowiedzy, konstatacjom stworzą aurę ewangelicznego bez mała zatroskania. Kto wie, może i zreczenie zatuszują przeświadczenie o brulionowym (niestety ciągle, i coraz bardziej) charakterze polskiej krytyki współczesnej, atrybut ów odnosząc II tylko do twórców artystycznych. Niezależnie jednak od zjawisk ubocznych —pamflet tę ma zaletę, iż wywołać musi reakcję. Co i z mą się stało po przeczytaniu „Polskiego księżycy” Juliana Kornhausera („Polityka” 1981 nr 15). Jest to tekst drażliwy

jakiego nie powstydzili się żaden prokurator, a nawet Wielki Inkwizytor, oskarżyciel nie tylko współczesnego kształtu literatury polskiej, lecz i społeczeństwa, które ją zrodziło. Autor zamierzał zapewne wywołać twórczą irytację i udało mu się to — nie można bowiem nad tym tekstem przejść obojętnie. Ale można, a nawet trzeba — polemizować.

Poważne wątpliwości budzi już pierwsza teza Juliana Kornhausera teza o nietrwałych wartościach składających się na duchowe życie narodu polskiego. Jeśli wartości nie są trwałe, to czy najznakomitszy nawet tekst Kornhausera przywróci im blask diadem? I czy rzeczywiście o to chodzi? Czy tylko o pokazanie księżycowego krajobrazu kultury polskiej, owianego pyłem niespełnień, upstrzonego kraterami niemożności, skałami klęsk i półproduktami zniewolonego umysłu? O wierze nie wspominam, bo czytam u Kornhausera że „polski intelektualista nigdy jeszcze w okresie powojennym nie uwierzył naprawdę, szczerze i bez rezerwy”

Autor „Polskiego księżycy” z bólem serca konstatuje „zgruchotałą świadomość polskiego pisarza”. Nie wyjaśnia jednak kto ją zdrętwiał. Można się wprawdzie domyślać, iż uczyniła to Historia, warunki geopolityczne, oficjalni stróżowie polityki kulturalnej etc. Czym w takim razie ma być owa świadomość? Czego dotyczyć? Serwilistycznej dworskości literatury? Oporu wobec obcych wzorów? Twórczej kontynuacji nie najgorzej w końcu intelektualnej tradycji państwa bez stosów? Szkoda, że Julian Kornhauser zapomniał o słowie tożsamość, bo przecież i dziś nie chodzi o nie innego, jak

o tożsamość literatury z narodowym losem (czy duchem — jak kto woli). Tym bardziej szkoda, że przecież pamięta on o słowach Maurycego Mochnackiego: „Nie dość na tym, że jesteśmy, potrzeba to jeszcze wiedzieć”. Pisarz nie może pozwolić, by pozbawiano go tradycji (lub tylko wyboru), nie może pozwolić na wyrwanie czy odcinanie korzeni, nie może działać w próżni i to w dodatku z poczuciem wiecznej improwizacji, tymczasowości, pospiechu i powierzchowności. Czym bowiem w takiej sytuacji

pod każdym względem zdrowe, jeśli nie go nie będzie rażać, dokuczać, doskwierać — to czy z tego samozadowolenia łatwiej zrodzi się dzieło wybitne niż z serdecznego bólu i cierpienia? Dotychczasowe doświadczenia raczej przeczą wspomnianej tezie, bo przecież myśli gorące i szalone legły się najczęściej w organizmach osłabłych, gorączkujących. Nikt jednak nie może gwarantować, że i tym razem tak będzie. Dziś już nie wystarczy czuć za miliony, trzeba wsparcia wielu dyscyplin humanistycznych,

pokusza zmierzania się z mniej lub bardziej widocznymi konfliktami.

Rozumiem tęsknoty Juliana Kornhausera. Oczekiwanie na dzieło wielkie i to dzieło o treści współczesnej towarzyszy nam od dawna. Jest tak prze-możne, iż wielokrotnie dzieło takie usiłowano czytelnikom po prostu wmówić. Wystarczyło kilka lat, kolejny zakręt, by (i to niekoniecznie w odniesieniu do parodystycznie zazwyczaj przedstawianych gwiazd socrealizmu). Świadczyć o tym może o samokrytycyzmie środowiska lub wiecznie żywej „Schadenfreude”, ale niczego poza tym nie załatwia. Bo nie może przecież spowodować raz na zawsze, że o rozgłosie zdecydować będą rzeczywiste zasługi.

Nie wiem, czy polski księżyć jest pochodnią polskiego kompleksu, czy też odwrotnie. Zależność jednak istnieje. Jej swoistym tertium comparationis staje się nadmierne przywiązanie wagi do znaczenia literatury w dzisiejszym świecie. Znowu pewnie chodzi o umiejscowienie kompensacyjne.

Wprawdzie Kornhauser dystansuje się od takiego pojmowania roli literatury, lecz jest to dystans przewrotny, wszak autor „Polskiego księżycy” udowadnia, że literatura na nie innego nie ma po prostu siły. A jej „Wille zur Macht” jest tylko złudzeniem, samooszukiwaniem się.

Stwierdza: „Pisarz chwytą za pióro, gdy tylko kolejna odwilż wycharowuje miraż wolności. Pisz szybko, nieustannie, jakby obawiając się, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego do końca, że zabraknie mu wiary w złoźnym dziele odkrywania prawdy i roztrząsania sumień”. Ja mimo wszystko byłbym jednak za pośpiechem (ale przeciw niestanności!). Jeśli pisarz ma coś znaczącego do powiedzenia — niech wyrzuci to z siebie najspieszniej, cyzelatorzy sami się znajdą. Historia literatury zna takie przypadki, iż w jedną noc napisano więcej niż w innych okolicznościach tworzone latami. A waga takiego pisania? Nawet w warunkach księżycowych nie znika całkowicie.

Chodził przecież o to, by księgozbiór polskiej literatury współczesnej nie przypominał hiszpańskiej oberży, w której aby coś skomunować — trzeba przynieść ze sobą.

**TADEUSZ
BŁĄŻEJSKI**

Czasy teraz takie, że niejednemu oko krwιά, bielmem lub też mgłą zachodzi. Wpływa to oczywiście ujemnie na jasność i ostrość widzenia, od czego krok już do trwałego astygmatyzmu i daltonizmu. Ostatnio dość zaszawasowane objawy tych schorzeń zaobserwowałem u Jerzego Wilmańskiego. Upewnia mnie w tej diagnozie lektura jego dwóch niedawnych felietonów. Wilmański pisze: **Od jakiegoś czasu (to w artykule — „Burzliwa dyskusja i co z niej wynika”, „Odgłosy” z 10 bm.) lub też „Ze zdumieniem od miesięcy” (to w „Głosie Robotniczym” z 8 bm.) „patrzę na działalność Wydziału Kultury”...** Patrzy więc Wilmański, patrzy tym swoim zamglonym, rozgorączkowanym temperaturą epoki wzrokiem i co widzi?

stradowej zostało rozwiązane nie przez Wydział Kultury, a przez Wydział Spraw Społeczno-Administracyjnych UM Łodzi i to za rzeczy wcale nie sztuką pachnące. Jerzy Michałak przestał być natomiast dyrektorem PTL „Pinokio” na jednoznacznie i zdecydowanie żądanie wszystkich organizacji (ZASP, POP, PZPR i KZ NSZZ „Solidarność”) zrzeszających członków tego teatru. O obu tych ostatnich sprawach mają zresztą łódzianie okazję dowiedzieć się szczegółowo dzięki drukowanemu w prasie łódzkiej wyjaśnieniu zainteresowanych instytucji. W polu widzenia pozostaje więc tylko próba zamknięcia Teatru im. Tuwima, która dla mnie, jak i kompetentniejszych ode mnie osób, była zamierzeniem społecznym i artystycznie słusznym, dla Wilmań-

skiego zaś jedynie likwidatorskim zapędem. No cóż — różnica w optyce.

Piszę o tym wszystkim nie dlatego, że bym uważał, iż Wydział Kultury i Sztuki UMŁ jest akurat tą agendą naszej administracji, która pracuje w sposób nie-naganny. Przeciwnie, jestem przekonany, że popełniła i popełnia wiele błędów, a sposób jego administrowania łódzkiej kulturą pozostawia wiele do życzenia. Nie mogę natomiast zgodzić się z metodą zaprezentowaną w „polemicie” z Wydziałem przez Jerzego Wilmańskiego. Zarówno z treściami, jak i formami tej metody. A to dlatego, że treści te — to po prostu nie fakty, ale fałszywe insynuacje, zaś forma — to nie racjonalny wywód, lecz demagogia. Bo czymże innym, jak nie demagogią jest oparte na kłamstwie zasugerowanie czytelnikowi, iż dyrektor teatru zostaje zdjęty, gdyż maczał palce w wystawieniu kaśliwej dla prominentów szopki satyrycznej. Chwytywał Cytelnik kupił, zabluznił na skurwysynstwo władz i odkręć to teraz kło-

ty, a kto dysponuje jedynie prawdziwymi, ale nie tak atrakcyjnymi faktami. Jeszcze niedawne takie działania (oczywiście w drugą stronę) przeżywałyśmy teraz ordynarną manipulacją. Żeby było śmieszniej, chwyt ten został zastosowany w felietonie pt.: „Nerwowość i rozważa”, w którym to, jak nieludnie się domyślić, rozważę prezentuje autor.

W rzeczywistości jednak Wilmański proponuje nam rozmowę o kulturze łódzkiej w taki sposób, w którym argument zastąpiony zostaje epitetem, a roztrząsanie problemu atakiem na konkretnych ludzi. Ciekawi mnie również bardzo, dlaczego to troska o dobrą kulturę łódzkiej zaowocowała u Wilmańskiego atakiem wynikającym jedynie z obserwacji niedawnych w czasie? Czyżby to, co dzie w kulturze Łodzi zrodziło się nagle, z niczego? Dlaczego zdumiewa go odejście Kłosowskiego, a nie bulwersują go np.: świecące pustkami od lat sale-pomniki na Dąbrowie Przemysłowej. Ciekawe, który z tych faktów przynosi większe straty społeczne dla kultury łódzkiej i ciekawe, za czyjej to kadencji w Wydziale owe sale były budowane? Być może autor felietonów tylko przez roztrągnięcie zapominał o tym napisać.

Ale cóż tam przeszłość, furda! Jerzy Wilmański — dziecko epoki wali na odlew w to, co działa, teraz, pod ręką. I pewnie zyska aplauz. Dziś — gdy na każdym zebraniu, każdy kto mówi nawet byle co, ale za to bezkompromisowo, z bebeczów, z zaangażowaniem wspierany jest przez słuchaczy rykiem: głośniej! głośniej! — nie może być inaczej. Nie może, gdyż jakoś dużo rzadziej słychać nawoływania: mądrzej! mądrzej! A tymczasem dyskusja nad kulturą łódzką przypomina coraz bardziej stypę, na której rozochoceni żalobnicy załatwiają swe osobiste interesy, zapomniawszy o nieboszczyku walającym się gdzieś w kącie. Panowie, a może ten trup jeszcze żyje!

JERZY BABOL

W jednym z ostatnich numerów „Głosu Robotniczego” i „Odgłosów” ukazały się artykuły redaktora Jerzego Wilmańskiego, w których — między innymi — została poruszona sprawa odejścia z PTL „Pinokio”, dyrektora i kierownika artystycznego teatru, Jerzego Michałaka.

Artykuły te są świadectwem całkowitej niewiedzy ich autora o tym, co było rzeczywistą przyczyną odwołania ob. Michałaka z pełnionej funkcji. Ostatnie dwa sezony, to okres stopniowego podupadania

Jerzego Michałaka nie oznacza likwidacji PTL „Pinokio”.

Teatr funkcjonuje normalnie: 3 maja odbyła się premiera, następna przygotowana jest na koniec bieżącego miesiąca. Trwa remont budynków teatralnych.

Jesteśmy głęboko zdumieni faktem, że redaktor Jerzy Wilmański w dobie, gdy polscy dziennikarze walczą o rzetelne informowanie społeczeństwa, nie zadał sobie trudu dokładnego zbadania tak ważnej sprawy.

„BURZLIWA DYSKUSJA I CO Z NIEJ WYNIKA”

nia PTL „Pinokio”, obniżania się poziomu artystycznego teatru, coraz większego kryzysu organizacyjnego i narastania — na tym tle — konfliktu między dyrektorem, który dopuścił się poważnych zaniedbań w swojej działalności, a zarządem, zwłaszcza zespołem artystycznym.

Od przeszło roku przedstawiciele organizacji społeczno-politycznych, działających w teatrze, na zebraniach i w pismach składanych na ręce dyrektora żądali poprawy sytuacji. Niestety — bez efektu: PTL „Pinokio” brnął w coraz większy kryzys. Wobec tego Egzekutywa POP, Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” oraz Zarząd Koła SPATIF-ZASP zwróciły się do Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi z pismem wniosem o odwołanie ob. Jerzego Michałaka ze stanowiska dyrektora i kierownika artystycznego naszego teatru. Wniosek został przyjęty. Odwołanie ze stanowiska ob.

Niedawno, na łamach „Odgłosów”, ukazał się panegiryczny artykuł opiewający byłego dyrektora naszego teatru, p. redaktora Jarosława Warzechy. Wspólną cechą artykułów, jest to, że obydwaj panowie są współautorami „Szopki politycznej”, jak również fakt, że oparli się na całkowicie jednostronnych informacjach. Pragnęlibyśmy w obu wypadkach znać ich źródło. Prosimy PT Panów Dziennikarzy, by w przyszłości, jeśli zechcą, pisać o naszym teatrze, porozmawiali także z nami. Zapraszamy.

Stowarzyszenie
Polskich Artystów
Teatru i Filmu
„ZASP”
Koło przy Teatrze Lalek
„Pinokio”
Egzekutywa POP PZPR
Komisja Zakładowa
NSZZ „Solidarność”
przy PTL „Pinokio”

PÓKI TRUP JESZCZE ŻYJE...

Ano zobaczył, że tenże Wydział Kultury swą polityką wypłoszył z Łodzi Kazimierza Dejmka, Henryka Czyża i Romana Kłosowskiego, zlikwidował Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, wykańczył Teatr im. Tuwima oraz zrzucił na bruk z dyrektorskiego stołka Jerzego Michałaka. Okazuje się jednak, że obraz rzeczywistości nieco się różni od tego, co widzi mój drogi przyjaciel Wilmański. A po kolei, tak to mniej więcej wygląda.

Kazimierz Dejmek i Henryk Czyż rzeczywiście przestali być dyrektorami łódzkich placówek artystycznych, ale jeżeli te fakty nie są przede wszystkim efektem ich własnych twórczych planów i polityki, to zapewne była to polityka trochę ważniejszych i gdzieś indziej zlokalizowanych wydziałów i urzędów, niż ten wspomniany przez Wilmańskiego. Roman Kłosowski odszedł z Łodzi sam i to właściwie pięć minut przed tym, nim go owiany posierpniową odwagą zespół Teatru Powszechnego nie „wywioził na taczkach”. Stowarzyszenie Muzyki E-

DOKUMENTY

WŁADYSŁAW SIKORSKI POLITYK I DOWODCA (KALENDARIUM)

Dalszy ciąg ze str. 8

Przed wszystkim właśnie kontakty z Kremlem, podpisanie lipcowej umowy i grudniowej deklaracji, kładącej na Sikorskiego niewybredne ataki różnych ugrupowań politycznych. Był już „slugusem niemieckim”, teraz jest „moskiewskim sprzedawczykiem” będzie zaś jeszcze „agentem gestapo”. Trwa — nie po raz pierwszy — wojna psychologiczna przeciwko niemu mająca na celu zatraszczenie go i zmuszenie do rezygnacji. Atakują go Prager i Ciołkosz, Filipowicz i Nagórski, intyguje Mikołajczyk, frontalny atak przypuszcza Doboszyński, brudzi też go kryjomu Anders.

Sytuacja polityczna jest również coraz bardziej skomplikowana. Projekt układu brytyjsko-radzieckiego niepokoi Sikorskiego, coraz więc większy nacisk kładzie on na kontakty ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie dwukrotnie jeszcze — w marcu i listopadzie 1942 roku — złożył oficjalne wizyty. W impasie znalazła się również sprawa polsko-czechosłowacka, gdyż 17 maja 1943 roku sirona czechosłowacka rokowania.

Rozwija się konflikt między rządami polskim i radzieckim na tle przewzrostu granic wschodnich, a także obywatelstwa mieszkających terytoriów zajętych po 17 września 1939 roku przez Rosjan. Na domiar 31 lipca 1942 roku przesłana została — specjalnym polsko-radzieckim protokołem — sprawa ewakuacji armii Andersa.

W marcu 1943 roku hitlerowcy ogłaszają wiadomość o odkryciu pod Smoleńskiem grobów pomordowanych polskich oficerów. Rząd Sikorskiego reaguje odwołaniem z dnia 17 kwietnia. W odpowiedzi rząd radziecki publikuje notę o zerwaniu stosunków z rządem polskim. W trzy dni później Wanda Wasilewska w przemówieniu radiowym stwierdza: „Emigracyjny Rząd gen. Sikorskiego nie reprezen-

tuje narodu polskiego (...) skompromitował się ostatnio, biorąc udział w organizowanej przez hitlerowców antyradzieckiej propagandowej bity w sprawie lasu katyńskiego, rzekomego zastrzażenia przez organy radzieckie polskich oficerów...”

W maju 1943 roku Sikorski — pod wpływem informacji o kampanii prowadzonej przeciwko niemu na Błiskim Wschodzie w kręgach andersowskich — decyduje się wbrew ostrzeżeniom na wizytację. 26 maja ląduje w Mena House pod Kairem, gdzie spotyka się m.in. z Andersem. Przeprowadza następnie inspekcję. 25 czerwca odbywa spotkanie w Bejrucie z pracownikami polskich placówek dyplomatycznych, a po kilkudniowym odpoczynku wyrusza w drogę powrotną do Londynu. 3 lipca ląduje w Gibraltarze.

4 lipca 1943 roku o godzinie 23.07 „Liberator A152” startuje ponad morze, aby po 18 sekundach runąć w wodę, gniebiąc generała Sikorskiego i jego córkę Zofię.

W Londynie — zamiast wstrząsu i żaloby — kłótnie o schedę po Sikorskim. W okupowanym zaś kraju „ciężkie wrażenie na ludności wywarła niespodzie-

wana śmierć generała Sikorskiego — pisze Wapiński. — Umieszczono w Warszawie przez ruch oporu klepsydry z wiadomością o śmierci Sikorskiego, podpisane „naród”, „polska demokracja walcząca”, stawiały się takimi samymi symbolami oporu, jak znak Polski Walczącej”.

OPR. IND.

Kalendarium oparte zostało głównie o prace — Romana Wapińskiego: Władysław Sikorski, Warszawa 1978 oraz Mariana Kukieła: Generał Sikorski... Londyn 1970. Ze zrozumiałych względów nie pretendujemy ono do miana doskonałego ograniczając się tylko do sygnalizowania istotniejszych spraw i faktów. Pełne jest więc skrótów i uproszczeń, których uzupełnienie i rozwinięcie wymagałoby wielostronnych objaśnień, nierzadko o charakterze przeglądowo-polemicznym.

W październiku 1977 roku „Ogłosy” opublikowały artykuł Stanisława Bulkiewicza pt. „Czy Łódź będzie miała swoją monetę pamiątkową?” Zadający to tytułowe pytanie — znany łódzki numizmatyk i kolekcjoner — rozpoczął właśnie w Narodowym Banku Polskim starania o emisję monety upamiętniającej rewolucję 1905 roku w Łodzi. W tym czasie wybito już w Polsce monety z okazji 50-lecia portu w Gdyni i 50-lecia powstań śląskich, nie mówiąc o szeregu pomniejszych rocznic.

O swoich staraniach łódzki numizmatyk poinformował ówczesnego prezydenta Łodzi o-

związku ze zgłoszonym przez Obywatela wnioskiem w sprawie wybita monety upamiętniającej 75 rocznicę czerwcowych wydarzeń rewolucyjnych w Łodzi, a przekazany nam przez prezydenta miasta Łodzi Jerzego Lorensa, u-
przejmie informuję, że wniosek ten został włączony do programu emisji monet okolicznościowych NBP. Przekazując powyższą informację pragnę podziękować za twórcze zainteresowanie się problematyką emisji Narodowego Banku Polskiego.”

Warto tu przypomnieć, że w roku 1977 NBP wypuścił trzy-
naście typów pamiątkowych, z

egzemplarze 20-złotówki, która na rewersie posiada rysunek panoramy miasta, sztandar z datą 1905 oraz napis „Łódź”. Jest to pierwsza „łódzka” moneta w dziejach polskiej numizmatyki powojennej.

Jej projektantem jest łódzki artysta plastyki Zygmunt Ogrodowczyk — jej inicjatorem i sprawcą łódzki kolekcjoner Stanisław Bulkiewicz, który z tej okazji otrzymał od młodzieży zbieraczy z Klubu Kolekcjonera przy Zespole Szkół Ekonomicznych nr 2 piękny medalion, będący powiększeniem pamiątkowej monety, wykonany przez młodego twórcę Sławka Gładkiego.

I chociaż — jak dotąd — Stanisław Bulkiewicz nie doczekał się oficjalnego słowa uznania i gratulacji za doprowadzenie do końca swego pomysłu — to właśnie najbardziej ceni sobie właśnie tę spontaniczną podziękę kolekcjonerskiej młodzieży.

Trzy lata temu „Ogłosy” pytały tytułem artykułu Bulkiewicza „Czy Łódź będzie miała monetę pamiątkową?” Dziś możemy już odpowiedzieć — tak. Do bogatej kolekcji pamiątkowych monet polskich od dziś zaliczać się będzie także „łódzka” dwudziestka. Stanisławowi Bulkiewiczowi składamy w tym miejscu wyrazy uznania za pomysł, na który nie wpadła żadna powołana do tego instytucja czy instancja oraz za upór w realizacji przedsięwzięcia.

WIDOK

DO CZEGO POTRZEBNA NAM MIŁOŚĆ?

Proszę odrzucić obawy. Nie mam zamiaru — w dobie odkłamywania mitów — dowodzić z uporem godnym lepszej sprawy, że to bociany przynosi dzieci. Nie podobnego Wszyscy dokładnie wiemy, do czego potrzebna nam jest miłość. Nawet dzieci dziś już o tym wiedzą, oglądając filmy przeznaczone tylko dla dorosłych. Ale mnie chodzi o inną nieco miłość. Powiedziałbym — społeczną. Oto na przykład mówi się u nas: — my nie kochamy biurokratów. Albo: — my nie kochamy naszego dyrektora. Albo: — my kochamy naszego pana kierownika, co nie zawsze może być prawdą. Przez kilka minionych lat wszyscy deklarowali, że kochają pewnego starszego pana ostrzyżonego na jeża, a później okazało się, że był przeciwnie i dziś chętnie by go utopili w tyżce wody. A w ogóle, to wszyscy nagminnie nie kochają wszelkiej władzy. I właśnie o taką miłość idzie.

Opowiadał mi pewien socjolog, że ich placówka naukowa prowadziła badania na temat tego, co ludzie chcieliby czytać w gazetach, o czym słyszeć w radio i co oglądać w telewizji. Pytanie było, czy chcą wiedzieć całą prawdę. Otóż okazało się — mówili ten socjolog — że ludzie świadomi są ograniczeń. I wiedzą, że na przykład nie można ujawniać tajemnic państwowej, wojskowej, że trzeba chronić nasze sojusze, bo od tego zależy nasza przyszłość i nasz spokój, a także spokój dużej części świata — Europy. Dalej — mówił ten socjolog — ludzie rozumieją, że pewne zawody muszą być chronione i nawet domagają się tego. Nie można ich zdaniem bezmyślnie i w czambuł potępiać lekarzy, duchownych, nauczycieli. Można natomiast krytykować ludzi innych zawodów, a głównie sprawujących władzę. Zawód polityka nie ulega żadnej ochronie. Wręcz przeciwnie. Oczywiście, jeśli konkretny nauczyciel, duchowny, lekarz popełni jakieś wykroczenie, to nie może pozostać bezkarny, sprawę powinna poznać opinia publiczna. Ale musi to być krytyka konkretnie dotycząca jednego przedstawiciela zawodu, a nie wszystkich.

Słuchając tych wywodów pomyślałem sobie, czy dziś w społeczeństwie, które staje się nowoczesnym, jakkolwiek rację bytu ma staropolskie: kochajmy się!!! Kto dziś i kogo ma kochać? I czy w ogóle w stosunkach między podwładnym a kierownikiem, między petentem a urzędnikiem, między różnymi grupami społecznymi potrzebna jest miłość? Czy to nie jest piramidalna bzdura, to ciągle domaganie się

aby podwładni kochali swego szefa i odwrotnie? Czyż te układy — jeśli już chcemy, aby polityka kadrowa oparta była przede wszystkim o kryterium kwalifikacji — nie powinny opierać się właśnie na szacunku dla kwalifikacji, fachowości, doświadczenia? Czyż szef to panna na wydaniu, aby podwładni go musieli kochać? I komu, po jakie licho, potrzebna jest taka wymuszana miłość która nie ma nic wspólnego z nowoczesnymi układami społecznymi, bez których niczego nie da się popchnąć do przodu, a my tak bardzo chcemy to robić. W słowach przynajmniej.

Janusz Cegieła odszedł do Warszawy, bo — jak wiecie nieśie — zespół Teatru Wielkiego go nie kochał oraz i on nie kochał paru ludzi i chciał ich zmienić, bo uważał, że z innymi będzie mu się lepiej pracowało. Ale zespół chce mieć kogoś, kogo będzie kochał, a kto może w ogóle nie znać się na operze, balecie, muzyce i sztuce w ogóle. Była była miłość. Tylko że skutki takiej miłości będą dokładnie takie same, jak skutki łowienia ryb w wodzie zatrutej ściekami przemysłowymi, albo skutki miłości do siebie dwu panów lub dwu pańienek — czyli żadne. Dzieci z tego bez wątpienia nie będzie. Inni też tu i ówdzie odchodzą, bo nie było miłości między nimi a zespołami. Ale, czy byli fachowcami i czy byli wyniki, tego jakoś nikt nie bierze pod uwagę. Nikt się nie zastanawia, czy czasem w atmosferze fachowych kłótni, ostrej wymiany poglądów, skrajnej różnicy zdań nie urodzą się lepsze dzieci niż z bezpłciowej miłości. Z tej ostatniej nic się nie urodzi, najwyżej złudzenia. Więc może staropolskie zawołanie: kochajmy się! — zamienimy na inne: szanujmy wzajemnie swoje kwalifikacje!

I na koniec sprawa miłości do milicji. Wiadomo, że nie kochamy milicji. I bardzo dobrze. Milicji nie trzeba kochać. Nic z tego nie przyjdzie. Nie trzeba jej się nawet bój. Jeśli się nie naruszyło prawa. Milicja zresztą sama też często naruszała prawo, a i teraz różne rzeczy się zdarzają w działaniu milicji tu i ówdzie. Milicja musi więc — jak wszystkie dziedziny życia społecznego — podlegać politycznej i społecznej kontroli. I musi mieć warunki do sprawnego działania w interesie naszego bezpieczeństwa. W tej sytuacji ani milicjanci nie powinni obrażać się na krytykę, ani społeczeństwo w czambuł potępiać całą milicję. Tam też są ludzie którzy uczciwie pełnią swoją służbę, a także ludzie, którym czasem wada uderza do głowy, albo którzy w ogóle nie powinni być się znaleźć w milicji. Sama milicja powinna te sprawy rozstrzygnąć i odrzucić wszystko, co w przeszłości było złe w jej praktyce. Abyśmy mogli wzajemnie się szanować. Miłość tu niepotrzebna.

MARCIN RODAK

ŁÓDZKA MONETA PAMIĄTKOWA

raz ówczesnego I sekretarza KŁ PZPR. Od prezydenta otrzymał pismo: W pełni podzielał pogląd Obywatela o zasadności realizacji wniosku ze względu na ogromne walory wychowawcze i popularyzatorskie. Jednocześnie zawiadamiam, że w sprawie tej wystąpiłem do prezesa NBP z poparciem dla słusznego i ze wszelkich miar pożytecznej inicjatywy Obywatela.”

Ówczesny I sekretarz KŁ PZPR nie przejawiał inicjatyw żadnego zainteresowania, być może dlatego, że nie miała ona nic wspólnego z futbollem. Także żadna — poza „Ogłosami” — łódzka gazeta nie była skłonna poprzeć starań Stanisława Bulkiewicza.

Dzięki jednak uporowi kolekcjonera i poparciu prezydenta wkrótce do Łodzi nadeszło pismo prezesa Narodowego Banku Polskiego: „W

czego aż ośmiem związanych było z polskimi miastami — 3 z Warszawą, 2 z Krakowem, po 1 ze Śląskiem i Gdynią oraz 1 z miastami Ziemi Zachodnich i Północnych. Łódź w tym gronie była nieobecna, mimo iż dwa lata wcześniej cały kraj obchodził uroczystości 70 rocznicę walk rewolucyjnych 1905 roku w Łodzi. Jedyną szansą mógł być więc tylko rok 1980 — czyli 75 rocznica rewolucji.

Tak się też stało, choć miniony rok nie sprzyjał różnego rodzaju jubileuszowym inicjatywom. Emisja monety nieco się spóźniła, ale wiosną tego roku trafiły do rąk łódzkich numizmatyków pierwsze

TELEWIZJA

Agencje prasowe codziennie przynosiły wiadomości o aktach terroru na całym świecie. Zajęci własnymi sprawami, nierzadko przyjmowaliśmy te wydarzenia zgoła bezrefleksyjnie, lub zinterpretacjami na temat patologii zachodniego życia politycznego. Przywykaliśmy do informacji o terrorystycznych zamachach, traktując je jako nie naszą, cywilizacyjną chorobę. Zresztą i świat zachodni miał do zamachów stosunek często dwuznaczny: stanowili one argument w rozmaitych rozgrywkach ideologicznych i politycznych. To co się zdarzyło na placu św. Piotra w Rzymie, w środę 13 maja o godzinie 17.17, było wstrząsem tak nieoczekiwanym i okrutnym, iż świat zamarł w odrętwiającym szoku. „Jan Paweł II — wypowiadała się na łamach „Głosu Robotniczego” profesor Stefania Skwareczyńska — wyniósł do największej rangi godność łódzka. I myślę, że właśnie te cechy — uznawania kryterium moralności jako nadrzędnego w stosunkach międzyludzkich i wyniesienie godności człowieka na najwyższy piedestał — otworzyły mu drogę do ludzkiego serca na wszystkich kontynentach”. Właśnie dlatego strzały przed bazyliką św. Piotra każą nam wątpić w cywilizacyjny postęp człowieka, w

optymistyczne wizje jego osiągnięć w przeszłości i przyszłości. Właśnie dlatego, bo dosięgnął Jana Pawła II, który od momentu objęcia namiestnictwa w Stolicy Apostolskiej, stał się symbolem humanistycznych wartości potwierdzających wielkość i sens człowieka, wartości wciąż degradowanych, traktowanych jako zbędne i imponderabilia. Zamach rzymski będzie z pewnością otręzieniem dla tych sił w świecie, które kierując się pragmatyką władzy, dominacji i polityki.

Zrozumiałe, że my Polacy, przyjęliśmy wiadomość o zamachu ze szczególnym poczuciem tragizmu, bezsensu i autentycznego bólu. I to bez względu na różnice w traktowaniu spraw wiary i religii. Jest dla nas Jan Paweł II nie tylko papieżem, ale i Człowiekiem, symbolem tego, czym Człowiek może być, jego godnością i wielkością. Dramatyczne wydarzenia z środowiska audycji generalnej połączyły nas i skupiły we wspólnocie przeżyć.

„Być z nami!” — zatytułowałem dzisiejszy tekst. Rzeczywiście TvP, jak nigdy dotąd, była z nami. Już w środę, natychmiast po próbie zamachu, przerwano audycję w obu progra-

mach, przekazując pierwsze informacje. Dziennik o 19.30, zatem w niespełna trzy godziny, potem, skupi nas przed ekranami w oczekiwaniach pełnych nadziei, iż kule zamachowca nie przerwały życia Jana Pawła II. Ten Dziennik, kolejne jego wejścia środowego wieczoru, realizowały wizję TvP, takiej jaka powinna być zawsze. To, czego słuchaliśmy i co oglądaliśmy, pozwoliło nam być na placu św. Piotra, wie-

wszechnym odczuciom; pominiemy to, rozumiejąc nagłość i dramatyzm sytuacji, których byli przekazywaczami. Z podobną, najwyższą oceną, spotkał się bezspornie Dziennik Tv z czwartku 14 maja, który trwał blisko trzy godziny, a który relacjonował nie tylko najświeższe depesze napływające z kliniki Gemelli, nie tylko reakcje opinii światowej, ale i również przedstawił film przybliżający postać papieża, jego młodość i

BYĆ Z NAM!

dzieci, przeżywać. Grzegorz Woźniak wraz z Jerzym Ambroziewiczem kierowali informacjami, komentując je bez maszynopisowych podstępów, tak jak one bezpośrednio napływały, w sposób rzeczowy, pełny i rzeczywisty kompletny. TvP sięgnęła informacyjnego ideału, wniosła się na wyżyny celów, którym powinna służyć. Może nie wszystko, co obaj redaktorzy wówczas wypowiadali (głównie Jerzy Ambroziewicz), było w pełni taktowne, odpowiadało po-

jego doświadczenia kształtujące się w naszym kraju, doświadczenia, które wyniosły go na papieski tron. (Nie będę wtykał tych, którzy zdecydowali, iż film ów przez długi czas zalegał półki). Czwartkowy Dziennik przedstawił również, porażając materiały na temat rozpraszającego się w świecie terroryzmu, zjawiska, którego rzymski przykład powinien być ostateczną kompromitacją.

Pisałem w ubiegłym tygodniu, na

marginiesie przydenckich wyborów we Francji, o potrzebie większej ruchliwości telewizyjnych służb dziennikarskich. Sobotnie „Studio 2” tę potrzebę potwierdziło. Kilku dziennikarzy audycja Jerzego Ambroziewicza, specjalnego wysłannika do Rzymu, dopełniła w sposób konieczny naszą wiedzę o tym, co wydarzyło się późnym popołudniem, 13 maja, w Watykanie.

Być z nami, w chwilach nie tylko trudnych, jak te z ostatniego tygodnia, ale zawsze — na dobre i na złe — to pierwsze zadanie telewizji. Być z nami zatem, to mówić to, na co czekamy, mówić rzetelnie, wiarygodnie, głosem pełnym i autentycznym. Być z nami — to równocześnie wyrażać nas, nasze nadzieje i przeżycia, aspiracje i marzenia.

Może ktoś powiedzieć, że w ostatnim akapicie uderzyłem w ton nabyt pompatyczny i namaszczone. Tak jakby świat zaczynał i kończył się na telewizji. Na szczęście istnieje wiele rzeczy poza nią. Naprawiając wszystko, domagajmy się i telewizji na miarę czasu w którym przyszło nam żyć.

GRZEGORZ GAZDA

PORTRETY I PAMFLETY

W numerze 14, z dnia 5 kwietnia 1981 r., pańskiego poczytnego tygodnika ukazał się wyjątkowo przewrotny paszkwil niejakiego Bernarda Sztajnerta pt. „Gulo Gulo, czyli Rosomak” znieważający wszystkie Rosomaki, do których mam zaszczyt należeć (Gulo Gulo).

Owszem w pewnym okresie wyżej wymieniany Bernard Sztajnert znał mnie, przyjaźnił się ze mną, przestawał ze mną, jadł ze mną z jednej miski bardzo mnie chwalił...

Pragnę postawić tu otwarcie jedno tylko pytanie — kto mianowicie tę wspólną miskę napelniał smaczkowym jadem: ja czy wymieniany Bernard Sztajnert, który potrafił tylko jeść i łowić Rosomaki (Gulo Gulo) w mętnej wodzie?

Bernard Sztajnert rad czerpie insynuacje na mój temat z dzieła przekupnego Brehma pt. „Życie zwierząt” — tego cynicznego Brehma, który słał hieny i nawołuje do rzezi zwierząt.

Przecież nawet ów przewrotny Brehm — człowiek o duszy hieny pisze „...gdy zdobędzie się małe Rosomaki (Gulo Gulo) nie są one trudne do oswojenia”. A staropolskie przysło-

Kamczadałów, ale jeżeli nie Pan to nawet Kamczadałowie wystąpią w mojej obronie. Wredny Brehm pisze o mnie „...nie bywa prawie nigdy w większych tarapatach żywno-

WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

wie mówi: „Nawet już ksiądz Baka trzymał w celi Rosomaka (Gulo Gulo)”.

Czyżby o tym wszystkim nie wiedział — jeżeli nie, dlaczego pisze w przyrodniczych publikacjach i tajnych księgach o Rosomaku (Gulo Gulo)? Szanowny Panie Redaktorze, spotkać mnie można już tylko na Kamczatce, wśród

ściowych”. A ja właśnie chcę otwarcie postawić pytanie: czy jeżeli na łamach Pańskiego poczytnego pisma grasują elementy anarchistyczne (wymianowane wyżej Bernard Sztajnert) Rosomaki prowokowane i szczute mogą się skoncentrować na rozwiązywaniu swoich problemów gospodarczych?

ROSOMAK (GULO GULO)